



92479

kat. komp.



92479

I

W. ROPSZYN (B. SAWINKOW)

KOŃ WRONY

(Przekład z rosyjskiego z upoważnienia autora).



SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
ZAKŁADU NAR. IM. OSSOLIŃSKICH

„OSSOLINEUM”

w Warszawie, Nowy-Świat № 69.

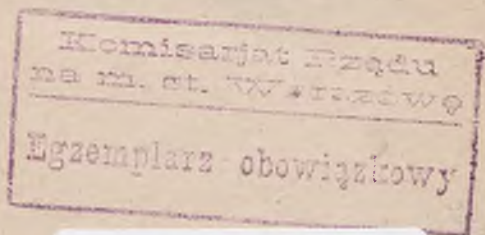
1924.

2837 / 15+

W. ROPSZYN (B. SAWINKOW)

KOŃ WRONY

(Przekład z rosyjskiego z upoważnienia autora.)



Biblioteka Jagiellońska



1002195813

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
ZAKŁADU NAR. IM. OSSOLIŃSKICH
„OSSOLINEUM”

w Warszawie, Nowy-Świat № 69.

1924.

32479

I (hr)



KOŃ WRONY.

WORLD HISTORY

„...A oto koń wrony: a który na nim siedział, miał szalę w ręce swojej“.

Objawienie Św. Jana VI p. 5.

„...Lecz kto nienawidzi brata swego, w ciemnościach jest i w ciemnościach chodzi, a nie wie, gdzie idzie, iż ciemności zaślepiły oczy jego“.

1. Św. Jana II. 11.

1 listopada.

Oczy kleiły mi się do snu. Przemogłem się jednak i kazałem zawołać Nazarenkę. Wszedł wysoki, w żółtej „kubance“ i stanął w progu na baczność.

— Siadaj.

— Postoję panie pułkowniku.

— Siadaj tu oto, przede mną.

Przestąpił z nogi na nogę. W końcu usiadł na brzeżku krzesła.

— Byłeś robotnikiem w Zakładach Putiłowskich?

— Tak jest.

— Zabrałem cię razem z pancerką „Lenin“—?

— Tak jest.

— Cóżem ci wówczas powiedział? Powtórz. Zamyślił się, poczem spojrział mi w oczy.

— Pan pułkownik powiedział: każdy może mi służyć, a kto nie chce, tego rozstrzelam...

— Nieprawda. Powiedziałem: kto chce niech zostaje i służy, a kto zdradzi, tego powieszę... Czy tak?

— Tak jest.

— A teraz wiem, żeś jest komunistą.

Drgnął.

— Przyznaj się, kto jest jeszcze w „komja-czejce“?

— Nie wiem, panie pułkowniku.

— A wiesz co cię czeka?

— Twoja wola, panie pułkowniku.

— Doskonale. Łącznicy!

Chciał coś powiedzieć, uniósł się był nawet cokolwiek z krzesła — lecz weszli Jegorow i Fiedia.

— Łącznicy! Sto pięćdziesiąt batów!...

Kiedy go wyprowadzono, rzuciłem się w ubra-
niu na łóżko. I natychmiast, niby w mgłę szarej
utoneło wszystko — i Nazarenko, i długi prze-
marsz po mrozie, i sosnowy przyprószony szro-
nem bór, i szkarłatno-żółty gaj dębowy, i skrzypp
siodeł, i gniada klacz Hołubka. Lecz za ścianą
świsnęło coś nagle i upadło, poczem miarowo
i silnie zaczęło drgać powietrze od razów.

— Panie pułkowniku!

„42... 43... 44...“ — Sen uleciał. Było nie do
zniesienia leżeć tu, w gorącym pokoju, w obcym
mieszkanu a nieznanego i wystraszonego po-
pa. A w sieni głos szorstki dezwał się:

— „Widzisz go, jak się kręci... Siadaj mu na
łeb, Fiediu“...

Tak „pracował“ Jegorow.

2 listopada.

Jegorow to siwobrody chłop ze Pskowa.

Jest on starowiercą. Nie pali, je tylko z wła-
snego naczynia i ściśle przytrzymuje się przepi-
sów rytuału. Przed piętnastu laty zabił z zawi-
ści rodzzonego brata, lecz jest to „babska spra-
wa“, a wiadomo, że w takiej prawo nie obowią-
zuje. Gdy wstąpił do mnie jako ochotnik. — spy-
tałem go:

— Za co ich nienawidzisz?

—Kogo?

— Komunistów.

— Tych biesów? a za cóż ich mam lubić? Dom mi spalili, syna zabili... Nawet pies żałuje swych szczeniąt. Na stosach piec ich trzeba.

— Lecz wszak biali — trzymają stronę panów.

— Więc cóż! potem my i panom głowy ukreścimy.

— Tak! — kiedyż to?

Przyjdzie i na to czas.

Teraz Jegorow dochrapał się stopnia wachmistrza i jest dumny ze swej szarży. I gdy Fiedia podkpiwa zeń mówiąc, że jest on służalcem szlachciców, ten gniewnie potrząsa siwą brodą:

— Odczep się, zarazo! Ja nie za panów. Ja za Rosję — za Rosję... Przed wojną musiał napewno mówić: „my blacharze“ i znać nie chciał „kałuckich“. A dziś konno, z karabinem wypędza z Rosji „biesów“.

3 listopada.

Miasteczko w którym stoimy jest ubogie i niechlujne. Tonie ono w piaskach ruchomych. Piasek w lesie, piasek na drodze, na ulicach i na poduszce.

Jakgdybyśmy byli w pustyni Arabskiej.

Lecz tam praży palące słońce, a tu się zmierzcha ponury dzień. Wiruje lepki i jesienny śnieg, a rankiem mróz szczypie w palec. Chodzimy w letnich płaszczach. Nie mamy ciepłego obuwia, ani rękawic. Ktoś przebiegły kradnie je w tyle.

Na placu miejskim zbutwiałe chodniki, koński nawóz i kurz. Baby w białych chustkach na głowach, włościanie w białych kozuchach. Żydów prawie nie widać. Żydzi uciekli do lasów ze starcami, kobietami i dziećmi, z krowami i całym swym dobytkiem. Nie oswobodzicielami w ich oczach jesteśmy, lecz sprawcami pogromów i mordów. Będąc na ich miejscu, uciekłbym również.

Pogromy, rabunki i gwałty wzbronione są najszerszym przepisem. Za przekroczenie — kara śmierci. Wiem jednak, że wczoraj w 2-gim szwadronie grano w karty na zegarki i pierścionki, że rotmistrz Żgun rozgromił żydowski sklepik; że wśród ułanów zjawiała się waluta: amerykańskie dolary; że w lesie znaleziono zbezczeszczonego trupa kobiety. Rozstrzelać? Już dwóch rozstrzelałem. Lecz czyż podobna wystrzelać połowę pułku?

Gdy to piszę, w jadalni ochryplym głosem drze się gramofon. Chrypie, krztusi się i znów chrypie, jakby się skarżył na swą niemoc maszy-

ny. Słyszę, jak Fiedia majstruje coś długo koło niego, spluwa w końcu z wściekłością. Poczem zaczyna półgłosem:

Rozezuleni robotnicy
Wpadłszy w zapał pokochali
I Trockiego i Iljicza
I Iljicza i tak dalej..

4 listopada.

Fiedia jest artystą. W wolnych od „zajęć“ chwilach, maluje sobie „obrazki“. Jeden z takich „obrazków“ przyniósł mi właśnie dzisiaj. Jest to jego autoportret. Te same płomiennie-rude włosy, ten sam spłaszczony nos i niepokojące oczy: jedno martwe, wybite kulą; drugie nieco zmrużone, wesole i żywe. Ma na sobie płaszcz angielski, lecz z kwadracikami i pięcioramienną gwiazdą. U dołu podpis: „Komisarz, Fiodor Fiodorow, towarzysz Moszczenkin“.

Fiedia nie może się nacieszyć swem arcydziełem. Nie jest w stanie oderwać odeń zachwyconego wzroku. Gdyby był znał historję, miałby się conajmniej za Ney'a lub Davoust'a. W rzeczywistości jest to były kupiec kolonialny, mieszkaniec miasta Włodzimierza. Napatrzywszy się do syta, powiada:

„Grammo - grammo - grammofon.... Pate - pate - patefon“...

Czy nie dałoby się tego wystawić, panie pułkowniku?

5 listopada.

Kazałem osiodłać Hołubkę i wyjechałem w pole. Wypoczęta klacz biegła wesoło wyciągniętym klusem, dźwięcznie człapiąc kopytami po kałużach. Dzień był słotny i ciepły. Wiatr hulał z poświstem. Wystrzępione ciemno - fioletowe obłoki zniżyły się ku ziemi.

— Kocham przestwór szerokich pól! Kocham siność dalekiego lasu, odwilż i błotne opary. Tu, wśród pól czuję całym sercem, że jestem rosjaninem, potomkiem oraczy i włóczęgów; synem czarnoziemnej, przepojonej potem roli. Nie ma tu i nie odczuwa się braku Europy — ciasnego rozumu, nędznej krwi i przemierzonych, wydeptanych do ostatka dróg.

Tu — „nie białe śniegi“ — nierozwaga, nieokielzanie i bunt.

Przystanąłem na brzegu Berezyny i pieszo podążyłem wzdłuż rzeki. Płynęła spokojna i głęboka. Odlutne jej wody połyskiwały szronem kruchego lodu. Łzawiły się rdzawe krzewy, noga ślizgała się po mokrej trawie, a Hołubka stąpa-

jąc miękko za mną, trącała mnie pyskiem w ramię. Czułem jej oddech i zdawało mi się, że i ona i niskie niebo, i Berezyna, i szeleszczące szuwar-y i ja — stanowimy jedną niepodzielną całość. Skończony, zamknięty, nieprzenikniony świat... I przypomniała mi się Olga. Przypomniała mi się taką właśnie, jaką widziałem ją niegdyś w Moskwie — w białej sukni — i słomkowym kapeluszu.

6 listopada.

Rosja — to Olga, Olga to Rosja. Gdy zabraknie Olgi, moje ukochanie Rosji straci na swej głębi. Gdy zabraknie Rosji — miłość ma ku Ol-dze będzie pozbawioną wszechogarniającego sensu. Życie w Rosji bez Olgi, równa się tułacz-ce z Olgą na wygnaniu, tułaczce ze „złamanemi skrzydły“, z „drzeniem i przypadaniem ku pro-chom“.

7 listopada.

Wczoraj w ogrodzie moim powieszono Na-zarenkę. Nie przyznał się. Niby zwierzę wypo-czywał wciąż w kuchni. Czy wierzył, że będzie stracony?

Była 7-ma godzina rano. Wschodziło zimne słońce. W nocy spadł puszysty śnieg i przykrył piasek na ścieżkach. Nazarenko z Jegorowym wyszedł na ganek. Następnie ociągając się i mrózając oczy stanął pod brzozą. Na brzozie, na odartym z kory sęku konno siedział Fiedia. Na dziedzińcu w milczeniu tłoczyli się ułani.

— Zaczynaj.

Nazarenko westchnął głęboko. Był bez czapki, w krótkiej, białej, rozpiętej na szyi koszuli.

— Przeżegnaj się... Przeżegnaj się psi synu.

Ujrzałem jak szybko, szybko zaczęły poruszać się palce i drżeć sine wargi. I raczej wyczułem, niż posłyszałem.

— Panie... panie pułkowniku!...

Lecz Jegorow rzekł ponuro:

— Nawet pomrzeć nie potrafisz! W jaką stronę się żegnasz?...

Zwróć się ku wschodowi.

Fiedia narzucił sznur. Ugięły się chude kolana i opadła w dół głowa. Długie, bezsilne ciało — zawisło. Fiedia zeskoczył; szarpnął je za nogi, i rzucił w stronę ułanów:

— Czegoście tu nie widzieli? Rozejście się...

Porucznik Wrede, huzar, przeżył całą wojnę na froncie; wykonał niejedną szarżę na dru-ty kolczaste, był ranny i nagrodzony krzyżem Jerzego. Komuniści wsadzili go do więzienia. Zbiegł stamtąd. Obecnie dowodzi drugim szwadronem.

Co wieczór przychodzi do mnie, siada na otomanie i bezustanku pali. Jest to zupełny jeszcze chłopak, o jasnych włosach, zaróżowionych policzkach i z młodzieńczym puszkim zamiast wąsów.

— Panie Jerzy, dlaczego wciąż stoimy w tej dziurze?

— Taki jest rozkaz.

— A czy prędko ruszymy naprzód?

— Gdy rozkażą.

Wrede marszczy wąskie swe brwi.

— Sprzykrzyło mi się.

— Idź pan sam.

— Pan pułkownik stale żartuje ze mnie.

— Żartuję? Cóż znowu panie Wrede.. Gdyby mi się sprzykrzyło — poszedłbym.

— Dokąd?

— Do lasu.

Dzień ma się ku schyłkowi, zabłysły pierw-

sze gwiazdy. Za oknem noc i mróz. Wrede miarowo przechadza się z kąta w kąt:

— Było nas dwóch braci, trzy siostry i ojciec generał. Matka odumarała nas dawno. Mieliśmy posiadłość ziemską, dwór pod Rygą. Ojca mi rozstrzelano, brat starszy zaginął na Kaukazie, a o siostrach nic, a nic nie wiem. Dwór, naturalnie rozgromiono...

Tak oto... ojca i brata dać im nie mogę...

— Nazarenko napewno także ma brata.

— Nazarenko?... wszak to jest komunista.

— No, — a pan jest białym?

— Tak, jestem białym. Walczę o Rosję.

Uśmiecham się:

— I o majątek?

— O majątek? Nie... Niech djabli biorą majątek. Nie martwię się: niech tam się chłopstwo wzbogaca!

Fiedia wnosi zapaloną lampę. Zgasły gwiazdy za oknem. Zapachniało naftą i machorką. Fiedia przekręca knot i wycierając zatłuszczone palce o serwetę — dorzuca:

— I wzbogacą się i wykorzystają, panie poruczniku...

Wiadomo, takie już złodziejskie plemię...

Jegorow stracił syna. Spalili mu dom. Wrede stracił ojca. Fiedia stracił matkę. Rozumiem, dlaczego oni nienawidzą. Lecz za co ja nienawidzę?

Nie mam domu ani rodziny. Nie mogę ponieść strat, gdyż nie mam majątności. I dla wielu rzeczy jestem zupełnie obojętny. Obojętne mi jest: kto właściwie bywa w Jarze — czy pijany wielki książę, czy „zalany“ marynarz z koleżką w uchu. Wszak sedno sprawy leży nie w Jarze! Obojętne mi, kto mianowicie „wzbogaca się“, — cesarski urzędnik czy komunista z „przekonania“: wszak nie samym chlebem człowiek żyje? Obojętne mi, jaka właściwie władza rządzi krajem? z Łubianki czy z Ochrany? — boć kto marnie sieje, ten i marnie żnie... Co się właściwie zmieniło? zmieniły się tylko słowa. Któż bowiem dla błahostki ima się miecza...

— Lecz nienawidzę ich. W rozpasaniu z papierosem w zębach zaprzędali oni na froncie — Rosję. W rozpasaniu, z papierosem w zębach bezczeszczą ją obecnie. Bezczeszczą życie. Plugawią mowę. Hańbią wreszcie samo słowo: rosjanin. Chępią się z tego, że zapomnieli o więzach krwi. Ojczyzna dla nich... to przesąd. Dla groszowych swych zysków, handlują oni cu-

dzem dziedzictwem — nie ich — lecz naszych przodków. I te bestje gospodarują w Moskwie!...

10 listopada.

Moskwa... Moskwa to początek i koniec mego życia. Bez Moskwy, bez jej krętych zaułków, świątyni Zbawiciela, Arbatu i Kremłowskiej Bramy, bez jej bogactw, sławy, poniżenia i nędzy — niema Ojczyzny, a tem samem niema i mnie. — „Płoną krzyże na cerkwiach, płozy skrzypią po śniegu; rankami mróz, kwiaty szromu na szybach i w klasztorze Męki Pańskiej — dzwnią na mszę“.

Kocham Moskwę. Blizką mi jest.

Czy wierzę w zwycięstwo?

Na tyłach armji: tępota, łapownictwo i złodziejstwo — w ślepotcie urodzone szczury. Na froncie tępota, męstwo, rabunek — nie rycerze w białych szatach, lecz sobowtóry własnych swych wrogów. Obawiam się, że nadejdzie dzień, — gdy jak stado baranów rzucimy się na oślep z powrotem.

Rzucimy się — albowiem nie bezinteresownie kochamy Moskwę.

10 listopada.

Dzięki Bogu — ruszamy. Ze sztabu przyszedł rozkaz iść w kierunku Grabowa i Bobrujska. Kazałem odprawić mszę. Gołoledź. Mży deszczyk. Śnieg roztajał na bruku i zmieszał się z żółtym piaskiem. Brunatne błoto oblepia buty, kubanka przylega do rąk. Pop mruczy opieśzale: „o spokój całego świata i o zbawienie dusz naszych, zanieśmy modły przed Pana“... Fiedia w mokrym płaszczu, podciąga zamiast djaka: „Boże bądź litościw. Boże bądź litościw. Boże bądź litościw“. — Ułani żegnają się. Wielu z nich klęczy. Tylko Jegorow pozostał w domu. Zgrzeszyłby, modląc się razem z nami: jesteśmy bowiem „poganinami“ i „heretykami“.

11 listopada.

Wchodzi Wrede. Jest podniecony. Głos mu drży.

— Panie pułkowniku! Cóż to jest doprawdy? Nie zniosę tego dłużej. Czyż mamy szerzyć pogromy? Wie pan co się stało?...

— Cóż takiego?

— Żgun zabił żyda.

— Za co?

— Dla pieniędzy.

Rotmistrz Żgun odważny i obowiązkowy oficer, jest jednak łupieżcą. Nie mówi on —zrabowałem czy ukradłem, lecz „zafasowałem“. — Zafasował futro, pierścionek, buty. Słowo to przejęli od niego ułani. Dokąd nie było przelewu krwi — patrzyłem na wszystko przez palce. Dziś jednak inna sprawa. Wychodzę na ganek.

— Do koni.

Fiedia podaje mi Hołubkę. Ruszam krokiem ku 1-mu szwadronowi.

Na czele, na rosnym koniu, siwym źrebca siedzi rotmistrz Żgun. Poznaje rosnego źrebca: został zdobyty w potyczce u oficera czerwonej armji.

— Pan rotmistrz Żgun.

— Jestem.

Ma on poczciwą, czerwoną twarz z rudemi wąsami. Liczy lat 40. Ongi był wachmistrzem w carskiej służbie.

— Czy to pan zabił żyda?

— Tak jest.

— Za cóż to?

— Przecież to parch. panie pułkowniku.

— Pytam się — za co?

Sponsował, milczy. Zwracam się do sygnalisty.

— Powiedz — za co rotmistrz Żgun zastrzelił żyda?

Sygnalista spuszcza oczy. Boi się władzy.
Lecz nalegam:

— Rozkazuje ci — odpowiadaj!

— Za zegarek, panie pułkowniku.

— Słyszał pan, panie rotmistrzu Żgunie?

Rotmistrz milczy. Po żołniersku pożera mnie wzrokiem...

Wówczas mówię:

— Rozstrzelać.

● Zawracam konia. Nie widzę, lecz jestem pewny, że Jegorow i Fiedia zciągają go już z siodła i ustawiają tuż pod ścianą popowskiego domu. Czekam. Czekam niedługo.

Rozlegają się dwa wystrzały. Komenderuję:

— Trójkami — od prawego. Za mną! Stępa... Ma-arsz!...

13 listopada.

Pamiętam: poznałem Olgę przypadkowo.

Przechadzałem się w Piotrowskim parku. Był jeden z tych utykających dni, gdy niepokoją zbędne wspomnienia i nie dają się zagłuszyć — „smętne melodje“. Spotkałem dziewczę. Spytała mnie o drogę. Przez dłuższy czas szliśmy obok siebie. Milczałem. Milczałem, gdyż było mi nieswojo — nieswojo z powodu wzbierającej w sercu tęsknoty. A następnie... Następnie po-

chyliłem się ku niej i ująłem za rękę. Lecz ona, spojrzawszy mi w głąb oczu z taką ufnością i prostotą — ztem się zmieszała. I z tego zrodziła się miłość.

14 listopada.

Poręba. Droga przez las. Dokoła gęsty, nieprzenikniony i sędziwy bór. Nie skrzypi jodła, nie drży nadgniły sęk, nie słychać chrzęstu spadającej gałązki. Prychają zeicha konie i miarowo, a donośnie postukują setki kopyt. Od czasu do czasu Fiedia zapalając papierosa pociera zapalną.

Od czasu do czasu mówię półgłosem:

„Uwaga w lewo... uwaga w prawo“.

A plutonowi powtarzają moją komendę. Tak się posuwamy od rana, my 1-szy pułk ułanów. Idziemy ku Berezynie.

Rozstąpiły się ciemno - zielone świerki i wyłoniły przezarte rdzawe bagna. Gdzie - niegdzie wśród ostrej trawy rumienia się jeszcze — borówki. Na bagnach pasie się stado. Porykują krowy. Pasterz w dziurawym kożuchu przeprowadza nas tępym wzrokiem.

— Skąd jesteś?

— Z Buchar.

— Są tam czerwoni?

— A może i są...

— Dużo ich?

— A może i dużo...

Zdjął czapkę i ospale drapie się w głowę. Obojętne mu jest — czy to biali, czy czerwoni — car — czy my — czy też komuniści. W jego oczach wszyscy są obcy; wszyscy nieproszeni goście. Urodził się w lasach i w lasach umrze. Fiedia dla żartów wznosi nad nim „nahajkę“: „Wynoś się, leśne straszdyło“!...

15 listopada.

W Bucharach nie zastaliśmy czerwonych. Kazałem zwołać wiec chłopów. Przed cerkwią skupiło się koło pięćdziesięciu mężczyzn, wiele bab, a najwięcej chłopaków. Usiłowałem wytłomaczyć im — kim jesteśmy i o co walczymy. Słuchali nas z uwagą, lecz ponuro. Czułem, że mi nie wierzą — i mają za pana.

Gdy zacząłem mówić o gruncie — kilka głosów przerwało mi natychmiast.

— A dlaczego macie generałów?

— A dlaczego są z wami panowie?

— A dlaczego nie płacicie za podwoły?

Cóż mogłem odpowiedzieć? W istocie. na tyłach armji służą u nas carscy generałowie. W istocie, obywatelstwo czepia się nas jak pi-

jawki. W istocie w armji panuje kradzież... Z kłopotu wyręczył mnie Jegorow. Przecisnął się był przez tłum, wysoki, siwobrody, podobny do odszczepieńczego popa i wznosząc kroguleczy palec, zagrzmał:

— Co to jest — palec czy ogórek? Palec... A ja kto jestem? — Pan czy chłop? Chłop... Po jakiego więc diabła oczy ludziom mydlić? Chwytajcie, chłopcy, karabiny! Bić ich, biesów! Bić biesów przeklętych, komisarzy i jaśnie panów... Dość już ich panowania nad nami! Co? — źle mówię...

— Przysięgnij, żeś przeciw panom.

Jegorow zdjął „kubankę“ i przeżegnał się w stronę cerkwi.

— A na papierze możesz to napisać?

— Mogę.

— A pieczęć przyłożyć możesz?

— Mogę.

W tłumie zawrzało. Najbardziej pyskowały baby. Nie doczekałem się końca i powróciłem do chałupy. A wieczorem zameldował mi Jegorow że wieś dostarcza siedmiu ochotników. Zameldowawszy, przystanął we drzwiach.

— Nie nie wart ten towar, panie pułkowniku.

— Czemuż - to?

— Et — zbiegną te chłopczyska. Czyż mogą nie zbiec?

Jegorow skłamał: niewiadomo wszak o co walczymy.

17 listopada.

— Wśród lasu i wśród pól, z wieczora i dniem prześladauje mnie myśl — przejmująca myśl o Oldze.

Strzemię podzwania o strzemię, Hołubka wyciąga cugle, potyka się i znów stąpa równo, a przedemną staje Olga. Błyszcza błękitne jej oczy, rozsypały się płowe włosy. Śmiejąc się głośno, bawi się w „gonionego“. — „Goniony“, jakież to naiwne i nazawsze zapomniane słowo... Gdzie jest Olga? W więzieniu? W piwnicy Łubianki? We władzy pijanego komisarza? Nie mogę, nie śmiem myśleć. Płomień przelatuje mi po twarzy i wściekłość przesłania wzrok.

18 listopada.

Berezyna stanęła. Błyszczą błękitnawy lód. Wyżej nieco, w górę rzeki — szerokie opalenisko, gadatliwe i żwawe prądy. Hołubka, przysiadając na zadzie omackiem zstępuje ze spadzi-

stości. Przy samym brzegu wciąga głęboko powietrze i cofa się przerażona. Lecz podnoszę szpicrutę. Klacz chrapie i wykonywa szybki skok.

Wydostawszy się na przeciwległy nizinny brzeg — obejrzałem się. Radującym wzrokiem sznurem przeprawia się pułk. Ułani w złotych „kubankach“, w szarych po kostki płaszczach i z karabinami przez plecy, ostrożnie prowadzą niepodkute rumaki. Na czele posuwa się sygnalista Baraboszka, ten sam właśnie, którego badałem w sprawie Żguna. Naraz koń jego poślizgnął się i pada na kolana. Przez dłuższy czas napróżno usiłuje powstać. Baraboszka śmieje się, jak oszalały. Zaczynam się śmiać i ja. Nie wiem właściwie dlaczego? Lecz tak nieskazitelnie czysty jest ranek, tak przezroczyste powietrze, tak różnogłosa przebudzona rzeka, tak rzeźkie konie i tak uprzejmi ludzie — że ni by mały chłopak — cieszę się z życia. Ach żyć! nie myśleć, o niczem nie wiedzieć, nic nie pamiętać...

Pułk skupia się na łące. Formują go w kolumnę marszową. Rozlega się rozlewna pieśń. Ułani śpiewają „Olega“.

Fiedia podaje mi lornetkę:

— Otóż i oni, panie pułkowniku.

Spostrzegam w sinej mgle chwiejące się cienie. Jest ich wiele. Posuwają się Bobrujskim traktem. Są to czerwoni. Czyżby nas brali za swoich?

— Do szarży! marsz... marsz!... powietrze zaczęło gwizdać i smagać policzki. Hołubka skupiła się i dała susa. Schyliłem się nad łękiem i obnażyłem pałasz. Z lewa i z prawa słychać szybki tętent kopyt.

— Urywane okrzyki i strzały — może to trzaskanie z batów? Niby we śnie przemknął koło mnie Jegorow. Świsnęło ostrze pałasza—coś jęknęło i upadło... Oprzytomniałem dopiero po walce. I skoro oprzytomniałem, zauważyłem, że w kierunku lasu, po zaoranym, zmarzniętym gruncie, potykając się uciekał człowiek. Uciekał bez karabinu, osłaniając rękoma kark. Wślad za nim ciężkim galopem ewałował jeden z naszych ułanów. — Poznałem w nim plutonowego Żerebcowa. Ruszyłem za nimi z kopyta. Dogoniłem ich już na skraju lasu. Zamigotał pałasz, zakreślając warczący krąg. Czerwony zgiął się i rzucił ku zaroślom. Spojrzałem nań—na tego rosyjskiego chłopca z czerwoną gwiazdą

na hełmie i ogarnęło mną nieznane dotąd uczucie. Zawołałem:

— Opuść rękę!

Żerebcow gniewnie, całą osobą zwrócił się ku mnie.

— Opuść! A ty... A ty, kapuściany łbie — marsz za mną...

Czerwony zrazu nie zrozumiał. Następnie wznosił przerażone oczy. Potem zegnając się, płacząc i znowu zegnając, zaczął hełkotać niezrozumiale i pośpiesznie:

— Ot, dziękuję... ot już dziękuję... ot już do-
prawdy dziękuję...

20 listopada.

„Nie zabijaj“... niegdyś słowa te przeszyły mnie jak włócznia. Obecnie zdają mi się być obłudą. „Nie zabijaj“, lecz wszyscy dokoła zabijają. Płynie farba i sięga aż do końskich pysków. Człowiek żyje i oddycha zabójstwem, błąka się w krwawej ośmie i w krwawym mroku umiera. Dzikie zwierzę zabija, gdy głód zbyt da mu się we znaki. Człowiek zabija ze zmęczenia, z lenistwa, z nudy. Takie jest życie. Takie jest to, co zostało prastworzone, stworzone nie przez nas i co nie może być przez nas unicestwione.

Jaki więc tedy ma sens pokuta? Czy po to, by ludzie, którzy nigdy nie dadzą się zabić i drżą na myśl o własnej śmierci — mogli płać na temat przykazań boskich. Jakaż bluźniercza tyrada!

21 listopada.

— Walcząc posuwamy się naprzód. Wczoraj dwa razy szliśmy do ataku. Raniony został dowódca 1-go szwadronu i około dziesięciu ułanów. Zabity sygnalista Baraboszka. Był on również „blacharzem“, ziomkiem Jegorowa—i zawziętym wrogiem komunistów. Stale czuł się ze wszystkiego zadowolony, nawet wówczas, gdy nie było co jeść, — nawet wówczas gdy ludzie zasypiali ze znużenia na siodłach.

— Cóż źle — Baraboszka?

— Nie, panie pułkowniku — my „skopscy“ zwyczajni.

— W domu zostawił ojca, starego, surowego i pobożnego włościanina. Z jego rozkazu wstąpił Baraboszka do mas, jako ochotnik. Pochowaliśmy go w lesie. Ułani pospiesznie odśpiewali „wieczny odpoczynek“ i postawili brzozowy krzyż. Kiedy upadła ostatnia garść gliny — Fiedia marszcząc brwi powiedział:

— Żył grzesznie i umarł śmiesznie.

— Dlaczego śmiesznie, Fiediu?

— No, wszak nie od obcej, lecz rosyjskiej kuli.

22 listopada.

W nocy obudził mię Fiedia.

— Panie pułkowniku, panie pułkowniku proszę wstawać!

— O co chodzi?

— Już krzyczą hurra! panie pułkowniku.

Nie przywiązuję wielkiej wagi do nocnych ataków. Lecz trudna rada — zaczynam się niechętnie ubierać. Na dworze—choć oko wykol. Na krańcach wsi uporczywie klekocą kulomioty. Pozatem cisza. Zapytuję:

— Kto właściwie krzyczy — hurra?

— Moja wina, panie pułkowniku.

Fiedia nie jest tehórzem, lecz i nie wiele lepszy od tehórza. Ma przeczuloną wyobraźnię. Majaczy mu się często to, czego niema. Czy zdaje on sobie sprawę z tego — co jest?... W tej chwili czuje się zawstydzonym. Powiada:

— Ot tak i prą już od jedenastej.

— Niech tam „prą“... Zaglądam do Hołubki. Poczula moją obecność i obejrzała się w ciemnej szopie, błysnąwszy w przelocie okiem. Gładzę jej prężną pierś i zgrabną szyję. Hołubka prosi o cu-

kier—gorącemi wargami szuka dłoni. Niestety, nie mam cukru. Wciąż jeszcze grają kulomioty. Za mną, ze skrucną wzdycha Fiedia.

24 listopada.

Czyż można to uważać za wojnę?

Czerwoni poddają się niemal bez walki. Wczoraj zdobyliśmy baterję, 4 działa, dziś wzięliśmy do niewoli aż 2 pułki piechoty. Fiedia przechwala się: „Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce i główną kwaterę weźmiemy“. Jegorow przerywa mu: „Nie pleć bzdur, wola Boska — pilnuj się lepiej, abyś sam do niewoli nie trafił!“... Lecz — o to jestem spokojny. Fiedi nie wezmą. Jest chłodno. Poświstuje wiatr. Zamieć zaczyna wyć i szaleć.

Wrede ustawił jeńców w polu. Gdy zbliżam się — rzuca komendę:

— Baczość!

Ośmiuset chłopów ubranych po wojskowemu wpija się we mnie wzrokiem. Wszyscy mają jednakowe spojrzenie — wyteżone i nieufne. Są zziębnięci — stoją na baczość i szykują się do śmierci.

Fiedia zapytuje:

— Pan pułkownik rozkaże podawać taczki?

— Taczki... nie, tym razem nikt nie został

rozstrzelany. Pozostawiłem im do wyboru: wracać do Bobrujska lub też zaciągnąć się do nas. Dodałem, że każdy może powrócić do domu.

Nie zrozumieli mnie. Wirował drobny śnieżek, topniał i wciskał się za kołnierz. Odszedłem. Oni wciąż jeszcze czekali. — Na cóż? na taczki?

25 listopada.

Delegowałem do jeńców Jegorowa — i chłopów z Buchar. Nie wiem o czym tam rozprawiali. Zapewne znowuż o panach, o ziemi, o podwodach i o jenerałach. Lecz nim nastał wieczór — mieliśmy już nowy pułk ochotniczy 1-szy pieszy partyzancki pułk. I obecnie rośnie we mnie drażące uczucie: Pragnę walczyć. Walczyć nawet wówczas, gdy niepodobna zwyciężyć.

26 listopada.

Kocham Olę. Ale czy Olga mnie kocha? Po raz pierwszy zastanawiam się nad tem. Tam w Moskwie miałem pewność, że nie może mnie nie kochać. Któraż kobieta oprze się miłości? Któraż nie ulegnie w końcu namiętności? Czyż serce wytrzyma zaciekły pojedynek z samym sobą. Lecz wszak obecnie leży pomiędzy nami nie przepaść — a tylko studnia. Studnia klęsk.

rozpaczy, nieszczęście i ciosów. Ani więzienie, ani Łubianka nie są straszne. Mogę spalić więzienie i wysadzić w powietrze Łubiankę... Straszna jest rozbieżność życia.

27 listopada.

Napisałem na świstku papieru: „Do Naczelnika Garnizonu twierdzy Bobrujska. Rozkazuję panu niezwłocznie poddać miasto. Wrazie niespełnienia niniejszego rozkazu — zostanie pan powieszony. Wieś Mikaszewicze. Podpis“. — Notatkę tę doręczam zbiegowi. Młody żołnierz w hełmie uśmiecha się i chowa ją do rękawa.

— Nic więcej, towarzyszu?

— Nic.

— Wszystkiego najlepszego, towarzyszu.

Jestem dla niego „towarzyszem“, a nie panem pułkownikiem, a tembardziej nie waszą wielmożnością. Wrede nie uznaje tych komunistycznych inowacji. Ani rusz nie chce zrozumieć, że oddawna przestał już być „przybocznym huzarem Jego Cesarskiej Mości“ — lecz jest takim samym ochotnikiem, jak Fiedia. Słowo „Towarzysz“ — obraża go.

Co do mnie wszystko mi jest obojętne: aby się tylko poddał Bobrujsk i abym mógł uczynić

jeszcze jeden, chociażby zwodniczy krok ku Moskwie. Mam rozkaz — oczekiwania. Tem gorzej — jutro przechodzę do natarcia.

28 listopada.

Przez cały dzień trwał bój. Grzmiąły działa, wybuchały rozorując ziemię granaty, podzwaniały i rozplywały się w błękitnych niebiosach szrapnele. Widziałem przez lornetkę, jak na otaczających miasto wzgórzach przebiegali pomiędzy brzożami ludzie i padali rażeni naszym ogniem. Nie ludzie, a ołowiane żołnierzyki. Miniaturowe zabawki, — szabelki wielkości zapalniczki; miniaturowe karabiny wielkości ołówków, i miniaturowe wybuchy — niby dym z papierosa. A gdy wkońcu zdobyliśmy wzgórze, na wydeptanej, zeszłorocznej trawie walały się porozrzucane czapki, tornistry i płaszcze. Fiedia podniósł jeden oficerski podszyty futrem. Płaszcz był zawałany krwią. Fiedia zeszkrobał krew scyzorykiem i wciągnął go na siebie. Ułani zazdroszczą mu. „Łącznicy zawsze mają szczęście“. Lecz dziś powiodło się wszystkim: wszyscy są syccy, a konie mają owies.

29 listopada.

Wzięliśmy Bobrujsk pod wieczór. Zapadało właśnie ogromne, purpurowe słońce. Na rozbrzmiewających echem ulicach nie widać żywego ducha. Czernieją zabite deskami domy — i wyraźne, podobne do igieł sterczą fabryczne kominy. Na rynku wiszą na sznurze dwa zczerniałe od deszczu portrety: Lenina i Trockiego.

Jegorow pałaszem przecina sznur.

Zwyciężyliśmy. Lecz nie uczuвам radości i zwykłego upojenia.

Rosjanie — zwyciężyli rosjan.

Na murze widnieje proklamacja. Zrywam ją. Jest tam mowa o nas — „rabusiach i bandytach“.

I naraz zadaję sobie pytanie: brat przeciwko bratu, czy robak przeciwko robakowi.

30 listopada.

Plutonowy Żerebcow, zdaje mi sprawozdanie:

— Tak więc, panie pułkowniku, wzięto nas do niewoli pod Mikaszewiczami — gdyśmy byli w podjeździe: Kuczierajewa, Kariagina i mnie. Przywieźli nas do Bobrujska i powlekli do „Cze-ka“. A w „Cze-ka“ nie komisarz a otyła baba —

„sodkom“ *)—we frenczu i pricziesach. W rękę trzyma nagan. Spojrzała na Kuczeriajewa i powiada: „pełnij“ — na kołanach. — Kuczeriajew zaczął pełznąć. A ta bac z nagona. Następnie zwraca się do Kariagina: „A teraz pełnij ty“. Kariagin tedy - siędy, lecz w drzwiach stanęli rozbawieni czekaści. Cóż było począć? Zaczął pełznąć. Ona znowu bac! Czekaści wywlekli ich obu, a ta zwraca się ku mnie i grzecznie tak powiada. „Jak ci na imię towarzyszu?“ — „Wasył“. — „No cóż, może zapalisz towarzyszu Wasyłu?“ częstuje mnie papierosem. Biorę i palę. Baba woła mnie do siebie i kładąc ręce na plecy powiada: „Opowiesz mi wszystko towarzyszu Wasyłu — nieprawda-ż: ile macie dział, karabinów, koni!“ Zaczęłam jej pleść trzy - po - trzy — lecz ona jak zakrzyknie: „Łżesz. prawdę mi mów, psi synu“. „Nie nie wiem“ — odpowiadam. „A więc tyś taki?“ wsypać mu pięćdziesiąt batów. Wsypali. „No — więc?“... Milczę. Wstała z krzesła i chlast mnie szpicrutą po policzku. Pokrwawiła mi całą twarz. — „Wyprowadzić go — wsypać mu pięćdziesiąt gorących, a później na... „kielbaski“. Wsadzili mnie do paki. Ani jeść. ani pić nie dawali — naigrawali się nade mną. — „Zaprzedałeś się“ — mówili— „Judłaszu,

*) Sodkom — równa się „sodierzanka“—utrzymanka komisarza.

panom“. — Lecz szczęściem nadeignął właśnie pan pułkownik i oswobodził mnie.

Ona z komisarzem, powiadają, dotychczas tu się ukrywa.

Nazwisko ich: Ciecieriny.

1 grudnia.

Jegorow odszukał komisarza, lecz małżonki jego już nie zastał. Ciecierin ukrywał się w żydowskiej rodzinie pod pierzyną. Za karę Jegorow rozpruł pierzynę, powybił szyby i połamiał do szczytu groszowe umeblowanie. — „Zabawił się cokolwiek“. — Ciecierin został powieszony nad ranem. Egzekucję tę wykonał, naturalnie, Fiedia. Umyślnie bardzo długo przygotowywał petlę, namydłał sznur, oddalał się, i nie śpiesząc — powracał. Teraz Fiedia wypił wódki, zjadł obiad i brzęka w sieniach na gitarze.

Rozczuleni robotnicy
Wpadłszy w zapal rozstrzelali
I Trockiego i Iljicza
I Iljicza i tak dalej.

2 grudnia.

Powiedziałem: rozbieżność życia... Ja podążam swoją drogą, Olga również swoją — nie-

znaną mi. Nad nami jest różne niebo, różna też ziemia po której stąpamy. Olga oddycha Moskwą, ja — moją miłością do Moskwy. Ona żyje dniem dzisiejszym ja — przyszłym, jeśli już nie przeszłym. Być może stałem się dla niej obcym — przez swoją dalekość. Być może na odosobnione jej życie padł już inny mroczny cień...
Lecz wierzę:

— „Wezbrane wody nie zdołają zagasić miłości, ani rzeki zatopia ją — miłość bowiem jest równie silną jak śmierć“.

3 grudnia.

Ze sztabu armji przybył pułkownik Meyer. Poblaskują srebrne szlify, uśmiecha się wychuchane oblicze. Pałac cygaro — opowiada nam sztabowe nowinki. **Wciąż** słyhać: „Jego Eksce-lencja... Baron... Pan Minister... Szambelan“...

A dalej: „Blok... Porozumienie... Lewica... Prawica... Paryż... Japonja... Ameryka“... — Zdaje się być mocno zadowolony, że jest tak dobrze poinformowany co do spraw bieżących i że pracuje tak blisko centrum“. Dopaliwszy cygara, zafrasowany nieco przechyla się ku mnie nad stołem:

— Jakżeż-to, drogi panie? Bez rozkazu przeszedł pan zdaje się do natarcia?

— Tak, bez rozkazu.

— Aj-jej-jej. — Czyż można? Wie pan — „komendarm“ jest niezadowolony. Osobiście doskonale wszystko to pojmuję... i cenię, bardzo cenię, lecz przecież według dyspozycji...

— Jakiej dyspozycji?

— Jakto jakiej? — On wkłada pince - nez i przygląda mi się ze zdumieniem — „według dyspozycji — musiał pan być czekać w Mikeszewiczach“.

— Czekać na kogo?

— Na jego ekscelencję „komendarm“.

Sprzykrzyło mi się nagle jego pince-nez jego nudzący głos. Sprzykrzyły mi się: sztaby — ministrowie — jenerałowie. Lecz panuję nad sobą, jak mogę. Czyż mogę dać przykład nieposłuszeństwa. — Jak sztułbak mówię:

— Moja wina — panie pułkowniku.

4 grudnia.

Wrede obraził się na mnie. Przez dłuższy czas przechadza się z kąta w kąt. Następnie siada. Zaczyna palić, i wreszcie mówi:

— Panie Jerzy, rozpedź ich pan na cztery wiatry.

— Kogo?

— A tych, ze sztabu... Przeszkadzają tylko.

Gdyby nie oni, dawno byśmy już byli w Moskwie.

— Czy występuje pan przeciwko armji? — Zde-tonował się i milczy.

— Przeciwko armji, lecz za Jego Wysokość Wielkiego Księcia?

— Za cara? Kto pana powiedział, że trzymam stronę cara? Nie jestem za nikim. W politykę się nie bawię. Jestem żołnierzem. Nie uznaję nigdy poniżającego pokoju — i nigdy nie zdejmę szlifów. O resztę — nie dbam.

Wrede zaczyna się denerwować. Czuje że we wszystkim ma rację, lecz nie może się połapać w czem tkwi błąd. Uśmiecha się.

— Ach panie Wrede, panie Wrede... Miło być huzarem, podzwaniać ostrogami, zjadać kolacyjki u Cubat'a i asystować pięknym paniom w Pawłowskiu. Miło też rąbać w ataku węgierskich kawalerzystów — a jednak nie być nawet białym, lecz poprostu „bandytą“, wojować w zapadłych kątach kraju, ramię w ramię z Fiedią — pod zwierzchnictwem jakiegoś Meyera...

I do tego ma się ograniczyć rewolucja? czy tak?

Wrede zrywa się i wychodzi.

Odważny i uczciwy chłopak — lecz w imię czego poświęca on swoje życie?

5 grudnia.

Dziś na dworze trzaskający mróz. Teżęje dym, oddech drętwieje. Kawki, marznąc, padają w locie... Mieszkam u pani Mińkowiez. W niżutkim „salonie“ jest ciepło i pachnie smażoną cebulą. Na meblach szare pokrowce, w rogu zakurzona palma, i na stoliku pod oknem wielkie familijne album. W albumie umieszczono podobizny miejscowych „handlowców“ i młodzieńców o amerykańskim wyglądzie —, siostrzeńców z Nowego Jorku. Pani Mińkowiez obawia się pogromu. Awansowała mnie na generała, karmi Fiedię faszerowanym szczupakiem, a wieczorami, aby nie dać mi się „nudzić“, zawzięcie gra Chopina. Dziwnie jest słyszeć ulubione swe walce tu, nawpół w hotelu, nawpół na dworcu. Walce te grała Olga... Czyż ujrzę ją jeszcze? Czy też reszta życia upłynie mi na tych samotnych tulałczkach. —

6 grudnia.

Jegorow węszy po całym mieście. Nie śpi i nawet nie je. Przeszukał sklepiki żydowskie, podwórza, piwnice i strychy, zajrzał był nawet na cmentarz i do soboru. Teraz spochmurniał i mówi ponuro:

— Licho ją wie co za djablica... Wiadomo, zwyczajnie jak biesy... Boga się oni nie boją. No, ale ja ją odszukam. Z pod ziemi ją wydobęde. Pokażę jej, gdzie pieprz rośnie. Któż to widział, żeby baba sama strzelała z nagana? Mało mają do tego durni, czy co? Jak mówi Pismo święte: „A oto niewiasta“... Lecz wszak nie jest ona dlań żoną, jeno, tfu, sodkomem i tyle...

— Cóż z nią zamierzasz uczynić?

— Co uczynić? już my sobie z Fiedią coś obmyślimy. Połamiemy sobie nad tem głowę. Wszak taką i spalić nie będzie grzechem.

Stoi we drzwiach wyprostowany, siwobrody i surowy. Wiem: jeśli mu pozwolić — spali.

7 grudnia.

Pani Mińkowicz bez mała ma rację... Po mieście krążą patrole. Pilnują porządku. Lecz porządku ani śladu — wielka ilość pijanych. Pijani i trzeźwi, oficerowie i szeregowcy — wszyscy grabią. W całym mieście odbywa się bezustanna kradzież, niemaskowany rozbój przy świetle dziennem. Wczoraj nawiedził mnie lekarz, któremu „zafasowano“ aptekę. Uskarża się. Mówi, że przy komunistach życie nie było bynajmniej gorsze: — „Ma się rozumieć, włóczono nas do Cze-ka... Lecz czyż teraz, przy waszych

swobodach, nie wloką do Defensywy?“... W Defensywie urzęduje Jegorow. Czemże różni się on od „czekisty“? Czem różni się ja sam od komisarza? Mamy różne wyznania wiary, lecz na zasadzie czynów naszych trudno nas rozróżnić. Jesteśmy namaszczeni jedną i tą samą mirrą. Walczymy ze sobą, a przeciętny obywatel jednakowo nas przeklina, nas białych i czerwonych: „u chłopów łby trzeszcza“. Lecz czemuż owi chłopci znoszą nas jak niewolnicy?

8 grudnia.

Otwieram ewangelję: „A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, pełne łaski i prawdy“. Kędyż jest nasze wcielone Słowo? Kędyż nasza Prawda, kędyż łaska Boska? „Jegorow skłamał, niewiadomo, o co walezymy“. Wiem, **dłaczego** ich wieszam, lecz nie wiem—**poco**. Na tyłach armji preparuje się cara, nawet nie cara, lecz cesarzyka, domorośłego i karykaturalnego Napoleona. Czyż on ma być zbawcą Rosji?... Zbawcą generałów i panów. Zbawcą tych — kogo razem z krwią wypłunał naród rosyjski — Moskwa... Moskwa jest zhańbiona i zmiążdżona obcaesm. Cóż zdołamy dać wzajemian? Inną — jeszcze gorszą hańbę i także kopnięcie żołnierskiego buta? Lub też, być może,

sentymentalne frazesy, bładą niemoc nowoobjawionych Mirabeux... „Djabli mi nadali urodzić się rosjaninem“.

9 grudnia.

Tak, — „djabli mi nadali urodzić się rosjaninem“. „Noszący w sobie Boga naród“ — oszukał. „Noszący w sobie Boga naród“ czolga się do stóp — lub się buntuje — kaja się lub smaga po brzuchu ciężarną kobietę; — rozstrzyga światowe zagadnienia, lub hodujekury w kradzionych fortepianach. „Jesteśmy podli, źli, niewdzięczni — trzebieńcy zimni w sercach — naszych“. Osobliwie, trzebieńcy. Garstka umiera za ojczyznę, jednostki walczą o wolność. A Mirabeaux wygłaszają mowy. Gdy się ich słucha — wszystko zda się już być do końca poznanem, wyliczonem, przewidzianem. Gdy się ich widzi — wszędzie zda się panować porządek, ład i obyczajność. Lecz uwierzyć tym zbrodniczym przyjaciom ludu — znaczy pograżyć się w mglistem bagnie, jak białoruski włościanin pograża się w „oknie“. Jakież jest wyjście z tej matni? „Kielbaski“ — czy też „nahajka“? — „Nahajka“. czy czeza paplanina? *

Pani Mińkowiez puka do drzwi:

— Przyszedł ktoś do pana, panie generale.

Odwracam się: w progu stoi młoda kobieta w białej papasze. Na krągłej, naróżowionej twarzy — wylupiaste szare oczy. Niepewnym krokiem zbliża się ku mnie.

— Dziwi się pan? Jestem Ciecierina.

Nie dziwię się bynajmniej. Nie mogła nie przyjść: była przecież osaczona i okrażona ze wsząd jak wilczyca. Przysuwam krzesło:

— Proszę siadać.

„Sodkom“ wyjmuje chusteczkę i zaczyna płakać. Milczę. We drzwiach bezszelestnie zjawiają się Jegorow i Fiedia. Przyglądają się jej z cheiwością i natarczywie.

— Przyszłam... Przyszłam ofiarować panu swoje usługi...

— Jakie usługi?

— Pragnę pomagać białym.

— Była pani agentką w Cze-ka?

Tłumaczy się przez łyzy:

— Zmusili... Wbrew woli...

— Czy to mąż pani został powieszony?

— To nie był mój mąż...

Gorący pierścień ścina mi krtań... Własnoręcznie rozstrzeliwała ona naszych żołnierzy.

Przed śmiercią drwiła z nich. Powiesiliśmy jej męża. A teraz ona — wydaje swoich.

— Nie skorzystam z usług pani.

Z uśmiechem opuszcza oczy.

— A szkoda... jestem gotowa na wszystko...

— Na wszystko?... A więc niech pani słucha. Proponuję do wyboru. Oddam panią w ręce tych oto, lub też... lub też zastrzeli się pani sama. Proszę wybierać.

Jegorow i Fiedia nieznacznie zbliżają się ku niej. Jeszcze nie wierzy. Mówi:

— Żartuje pan?

— Bynajmniej. —

— Ależ to niemożliwe...

— Łącznicy!

Powstała. Zrozumiała wreszcie. Nie płacze już, ani się też uśmiecha. I naraz, jak podcięta, pada na ziemię.

Obezwładnione nagle, otyłe ciało, zaczyna drgać w konwulsjach. Zwracam się:

— Zabierzcie ją!

Jegorow zbliża się i trąca ją końcem buta.

— Wstawaj, djablico, czas już.

A Fiedia przymruża jedyne oko:

— Proszę siadać — będziem gadać.

„Dobrać jest sól. Lecz jeśli sól zwietrzeje, czem solona będzie? Noście w sobie sól“.

Tak głosi Ewangelja Świętego Łukasza. Soli mamy wbród. Mocnej, słonej soli... Mają też jej pod dostatkiem i nasi zaciekli wrogowie. Z punktu widzenia wygodnego fotela, czystych komnat i zrównoważonego życia jesteśmy takimi samymi zbójami, jak i oni. Powiedziałem jednak: namaszczeni jesteśmy tą samą mirrą. Niech będzie i tak. Lecz zapytuję: co jest właściwie lepsze — pełne dobrobytu, podłe w istocie życie, czy też nasz grzeszny żywot? Kto stoi bliżej prawdy — święty Kasjan czy święty Mikołaj? Kasjan w szatach, pobożności i modlitwie — czy Mikołaj we włosiennicy, we krwi i w błocie. Lecz wszak św. Mikołaja obchodzimy dziewięć razy do roku! Cóż wiemy? Czyż dane nam jest wiedzieć?

I widziałem: „A oto koń wrony: a który na nim siedział, miał szalę w ręce swojej“.

W kuchni Fiedia zaleca się do pomywaczki. Pomywaczka jest dobrej tuszy i odpowiednio stara. Lecz Fiedia nie jest wybredny. Wystroił się dzisiaj: wysmarował tłuszczem włosy i umył się „brzozowym kremem“ — „dla piękności“ — jak mówi.

Z uczuciem potraça on struny gitary, a pomywaczka chichoce piskliwym śmieszkiem. Duszy Fiedy obcy jest niepokój.

12 grudnia.

Czerwoni przeszli do natarcia. Zbliżam się do mostu. Bronią go jeńcy czerwonogwardziści. Dowodzi nimi Wrede. Na przeciwległym brzegu rzeki — niskie i gęste zarośla ogołoconych z liści krzewów. W zaroślach tych leżą tyraljerzy. Czerwoni strzelają zrzadka i leniwie, jakby od niechcienia, jak gdyby nie wiedząc po co. Na moście stoją kulomioty. Jeden z obsługi, wysoki, rudy drągał w owijaczach, poznaje mnie i radośnie wita:

— Dzień dobry, panie pułkowniku.

— Jak się macie?

— Żyjemy!

— A gdzie lepiej?

— U nas.

U kogo to — u nas? U nas, czy u nich — wszak jedni i drudzy — to my. Zapytuje:

— Dlaczego lepiej?

Uśmiecha się od ucha do ucha.

— No jakże... Wiemy przynajmniej o co walczymy.

— O co?

— O Rosję.

O Rosję... Kubek w kubek jak Jegorow. A więc Rosja nie jest jeno pustem słowem, martwą nazwą ze szkolnej mapy. A więc nie tylko mnie łączą z nią więzy krwi. A więc głos jej znajduje oddźwięk i w tych prostych sercach. Rosja... Dla niej, dla matki naszej — nasze życie i nasze skuteczne ukochanie.

13 grudnia.

Czerwoni atakują. Znowu pękają granaty. Znowu pogwizdują szrapnele. Zaniepokojona Holubka zwróciła głowę ku rzece. Uspakajam ją i powoli jadę do baterji. Lecz oto już nad głową zazgrzytało wirujące koło. Błysnął ogień. Zawiało gorącym dymem. Mimowoli przeginam się w tył i popuszczam cugli. Holubka staje dęba... Dopędza mnie Wrede:

— Panie Jerzy, niepodobna się dłużej utrzymać.

Krew uderza mi do twarzy.

— Dlaczego?

Lecz ten spokojnie odpowiada:

— Nie wierzysz pan? — spójrz pan sam.

Spojrzałem. Nasi czerwonogwardziści walczą mężnie — nie gorzej od ułanów. Nie mogą zresztą nie walczyć: jeśli czerwoni zwyciężą —

zostaną rozstrzelani, Lecz czyż wielu z nich pozostało przy życiu?

Lecz tyraljerzy już są na moście...

Lecz już za wzgórzem przy baterji rozlega się: „hurra!!”...

14 grudnia.

A więc stało się. Odstępujemy.

Cóż osiągnąłem? Za mną — rodzime głu-
che pustkowia, przedemną — obca granica. Kędy jest Moskwa? Kędy marzenia o Moskwie?

Oto znów przyprószony szronem bór, chrzęst wędzideł i równomierny postuk kopyt. Oto znów od czasu do czasu prycha Hołubka i skrzypi skóra siódła. Oto znów zwykłe, — nie, całkiem nowe, wiekowe znużenie. Ułani już nie śpiewają... Obrzucam wzrokiem nieliczne ich szeregi. Wrede jedzie osowiały, nasrożywszy się w letnim płaszczu. Również osowiały jedzie Jegorow. Tylko Fiedia nie traci dobrego humoru. Podniósł futrzany kołnierz i jest mu ciepło. Mruczy sobie pod nosem:

A jak poszliśmy na bal,
My na bal, my na bal,
Wyrzucono nas na leb,
Nas na leb, nas na leb...

Komenderuję:

— Kłusem... Ma-arsz!

II.

3 lipca.

Grusza siedzi na trawie. Ma na sobie różowy kaftanik.

Zmierzcha się. W ciepłym powietrzu wibruje brzęk komarów.

— Dowiedziałaś się już, Gruszo?

— Dowiedziałam się.

— Iluż ich jest?

— Wszystkiego trzech. Zatrzymali się w czwartej zagrodzie na prawo. Od rana raczą się samogonką.

— Czy z miasta?

— Tak, z miasta, ze Rzewa. Jeden rudawy robotnik. Drugi włochaty niby z duchowieństwa. A trzeci podobny do pisarczyka.

— Z „Ispełkomu“?

— Tak, plugawcy... Mają papiery przy so-

bie i noszą karabiny. Powiadają, że spisywać będą kaczęta.

Grusza śmieje się, szerząc białe zęby. I rozeźmiawszy się, zakrywa twarz ramieniem.

— Nie boisz się, Grusza?

— Czego mam się bać?... Dałabym im rady i sama. Podkraślalbym się w nocy i pudusiła. Wszysey trzej — nie warci trzech groszy.

— A jeśli rozstrzelają?

— Niema obawy... nie rozstrzelają. Do lasu ucieknę, do ciebie.

Przysiadam się do niej. Grusza opuszcza oczy, następnie delikatnie odsuwa mi rękę:

— Panoczku... Gołąbku... Zobaczą...

4 lipca.

Od czterech tygodni siedzimy w lasach. Mam pod sobą 26 ludzi — „bandę zbirów“. Krążą już o nas legendy. Lieżą nas na dwie dywizje, opowiadają, żeśmy wzięli Kaługę i idziemy na Moskwę. Wielogłośną famą krążą słuchy, że nastąpi wreszcie swoja chłopska władza i karze „biesów“. Cała okolica wierzy w nas. Mógłbym porwać za sobą i Stołbce, i Możary, i Zubowo, i Syczewkę. Lecz nieznanym mi jest jednak dzień i godzina.

Wstałem dzisiaj o świcie i poszedłem na

przełaj przez pola. Pod nogą paproć i mech, nad głową przejrzyste, jakby splukane nocnym deszczem niebo. Jest jeszcze ranek, słońce jeszcze nie grzeje, a już nad krzakami dzikich malin huczą pszczoły. Przyglądam się im bacznie. One żyją w ciągu krótkiego lata — my zaś w ciągu krótkiego życia. One pracują — my wojujemy. One zostawiają po sobie pełne miodu plastry — my... Cóż zostawimy my?...

Jestem „zielonym“. Ukrywam się w zielonych lasach. Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, gdyż służę Rosji.

5 lipca.

Późnym wieczorem, po przez ogrody warzywne zbliżamy się ku Stołbcom: ja, Jegorow i Fiedia. Powietrze przesycone jest mocnym zapachem kopru i konopi. Lśni księżyc. W jego blasku widnieje wysoki cień — to Grusza w białej chusteczce. Szepcze ona: „Tędy chodźcie, tedy“.

Prowadzi nas prostą drogą, po przez tyły zagród. Przy czwartej chacie na prawo, pukam ostrożnie do okna.

— Kto tam?

— Wyjdźcie na chwilę, gospodarzu.

Zgrzytnął rygiel i z za drzwi wysunęła się

głowa. Poznałem „włochatego z duchowieństwa“.
Obejrzał się dokoła i poskrobał się w pasie.

— Towarzysz ze Rżewa?

— Tak... a ty kim jesteś?

Nie odpowiedziałem. Podniosłem rękę i nie mierząc nacisnąłem cyngiel. Błysnął żółty płomień, ganek wypełnił się dymem... Nie wchodziłem do chaty. Weszli Jegorow i Fiedia. Dokoła tak samo śni księżyc. Na pustej ulicy, koło bramy stoi Grusza. Usta ma nawpół rozchylone. Oddycha często i głęboko. Lecz nie odchodzi. Mówię do niej:

— Idź do domu, Gruszo.

— Nie... Dlaczego... Zaczekam...

6 lipca.

Jegerów opowiada:

— Weszliśmy, a ten jak się rzuci na mnie... W rękę mnie ugryzł, rudy djabeł... No, tego Fiedia prędko zapisał na rozchód*). A drugi parszywiec wlaź na pryczę i trzęsąc się ze strachu, błaga: „Wybaczenie mi, prawosławni na Boga“... Mówię doń: „Koniec twój nadszedł, módl się, psi synu...“ A ten wciąż swoje: „Jak

*) Specjalny żargon czekistów: zapisać na rozchód — rozstrzelać.

pies będę wam służyć, książki będę wam drukować“... Pysk ma cały pokrzwawiony, jedno oko wisi na niteczce — a on plecie o książkach. Śmiechu warte!... Także — literat. się znalazł...

Parne południe. W obozie pustka. Jedni stoją na posterunku. inni na wywiadzie, jeszcze inni śpią. W cieniu szerokiego klonu „bandyci“ grają w „wiedźmę“. Rej wodzi, ma się rozumieć, Fiedia. Podkpiwa z graczy, stroi miny i szachruje. Nigdy nie zostaje „wiedźmą“: „taki już widać z niego szczęściarz“... Jegorow przygląda się grze niechętnie. Patrzy długo, w końcu spluwa oburzony:

— Tfu! Tytoniem cuchną, w karty djabłu na pociechę grają. Paganie... Poczekajcie jeno: w wiecznym ogniu będziecie się prażyć. Nie daruje wam Bóg grzechów waszych!

8 lipca.

Iwan. to były sowiecki „pracownik“. Jeszcze wczoraj brał udział w posiedzeniach „Ispolkomu“, kuł do egzaminów Marksa i bez zastrzeżeń ulegał „Weikowi“. Dziś jest razem z nami w lesie. Niewysokiego wzrostu, lecz szeroki i mocny w barach, dobrze skrojony, ale źle zszyty. Jest on synem djaka i został wydalony z seminarjum za nieprawomyślność. Przyszedł do mnie sam

jeden, bez broni, przedostawszy się przez linje posterunków i zaczął od ponurego oświadczenia:

— Muszę uprzedzić, że jestem bolszewikiem. Spojrzałem nań z zaciekawieniem.

— Pragnę zostać zielonym.

— Bolszewik i chce zostać zielonym?

— Tak jest. Dość już tej zabawy. Co zanaadto— to niezdrowo. Wszak prędzej czy później wy będziecie górą.

— Któż to — „wy“?

— No przecież, chłopci...

Spodobała mi się jego otwartość. Dałem mu brauning i karabin. Płacąc szczerością za szczeróść, powiedziałem:

— Wiedziecie, że my nietylko wieszamy, lecz również i grabimy.

— Komunistów?... Słusznie im się to należy.

— Dlaczegoż to?

Zasepił się.

— Zawierzyłem im, jak ostatni dureń... A ci mnie bezczelnie okłamali. Podli. Żyć nikomu nie dają. O swoją kieszeń tylko dbają.

9 lipca,

W nocy przychodzi Grusza, — na bosaka przekrada się ścieżkami. Podnieca mnie blask jej oczu. podnieca młode jej ciało. Bije od niej

nadmiar nieroztrwonionych sił, nienasycona, niemal zwierzęca żądza. W cichości spoczywa ziemia. Łagodnie jaśnieje Mleczna Droga, i niby dzieci śpią „bandyci“. A nas trawia — płomień. Lecz Grusza jest mi obca, obca mi naiwna jej mowa: „Sokoliku mój... Słoneczko moje...“ Przypomina mi się Olga. I zdaje mi się, że to nie Grusza, lecz Olga tuli się do mnie, że to nie Grusza, lecz Olga szuka ust moich... Olga?... Gdzież jest dno studni, która nas rozdzieliła?

10 lipca.

„I stały się gromy i głosy i błyskawice i trzęsienia ziemi wielkie...“

„Lecz wszak harmonje różną po dawnemu i chłopcy drą się w niebogłosy, wyśpiewując zamaszyste „czastuszki“. — wszak koło zapłotków czubią się jasnowłosi, zawszeni oczywiście, malcy; wszak pędzi się samogonkę; wszak potrzekuje i ocieka smołą łuczywo; wszak ciężą w powietrzu, tak jak i dawniej ohydne przekleństwa. Te same nierówno poszarpane pola, te same porośnięte trawą polne drogi. A najważniejsze że tam, gdzie i dawniej, „zimują raki“. Nad temi oto „rakami“ oddawna łamię sobie głowę... Gdzie „gromy, błyskawice i głosy?“ Niema ich. Jest

jeno wszechpaństwowa, wszechchłopska, wszechrosyjska chłosta, taka sama, jaka była i za cara. I poto przelano — morza krwi?...

Ojciec Gruszy, Szczepan, niegdyś zamożny, a obecnie nawpół zrujnowany włościanin. Spytałem go: dlaczego wieś nie poparła „białych“? Zamyślił się:

— Panie szanowny, jakby to panu lepiej wytłumaczyć? Nie chodzi tu jedynie o kaprys. Pojmij pan, o co tu chodzi. Jestem goły, jak święty turecki i pajęczyna wisi u mnie pod obrazami świętych — ale za to sam jestem sobie panem. A jeśli przyjdą generałowie, być może, iż i ja się wzbogacę, lecz nie będę już gospodarzem swej chałupy, a tylko popychadłem na pańskim chlebie. W tem to i sęk.

— Lecz wszak cię po staremu chłoszczą?

— Chłoszczą. Lecz któż to chłoszcze? Wszak swoi. „Nasi bracia fabryczni lub chłopci... Z tymi psubratami prędzej czy później damy sobie rady — a z panami może i nie...

Czy czasem nie w dworach obywatelskich „zimują raki“?

11 lipca.

Iwan wrócił z wypadu na Duchowszczyznę. Raportuje mi: — Wszedłem i powiadam: ręce

do góry, towarzysze!“.. Chłopi popadali na kolana, a zarządzający wtyka mi do rąk klucze — „Oto są klucze, panie atamanie“... Kazałem wyrzucać towary za okno: perkal, gwoździe, skórę, podeszwy. Następnie zwracam się do chłopców: „Bierzcie dzieci, to wszystko wasze“. Nie wierzą mi, boją się. Wyrznię jednego pięścią w kark. — „Bierz — pniu jeden!... darowuję wam“. Wówczas zaczęli rozciągać i na furmanki ładować. A zarządzający, członek partji, medytował, medytował, a później jak ciśnie czapkę o ziemię... „Do diabła!! czemżeż jestem gorszy od innych?“ — i również zaczął ładować na furmankę. — Komunisci?... Znam ja ich doskonale. Wszyscy są jednakowi.

Iwan wręczył mi miliard sowieckich rubli. Schowałem je do kasy. Przy kasie stoi posterunkowy. Obawiam się „bandytów“. Jeśli nie dopatrzeć, potrafią okraść i swoich. Mógłbym również dobrze powiedzieć:

— „Zieloni?... Znam ja ich doskonale... Wszyscy są jednakowi“.

12 lipca.

Grusza mnie zapytuje:

— Kiedyż wreszcie ruszysz na Rzew?

— Na Rzew?

legiwać się na piecu.

— Na piecu?

Zaczyna się śmiać.

— A czyż nie żyjecie jak u Pana Boga za piecem? Wszystkiego macie pod dostatkiem: i konie i krowy i owce i samogonkę. Na obrusach — jak panowie jecie. Na futrach jak kupezychy wypoczywacie... Spójrz tylko, jak się odkarmił ten jednooki...

— Fiedia?

— No tak, ten twój oprawca.

— Zazdrościsz mu Gruszo?

— Nie zazdroszczę, lecz chodzi o to, że prawosławni czekają.

— Czekają — na cóż to?

— Kiedy wreszcie ruszysz na Moskwę.

Spoglądam na nią. Stoi oto tuż przy mnie bosa i w różowym kaftaniku. W ciemnych oczach ani śladu wahania: trzeba ruszać na Moskwę.

— A dlaczego chłopci nie idą?

— Bo nie mają dostatecznej siły.

— No, i my jej również nie mamy.

— Ty?.. Ty nie masz siły?...

Chce coś powiedzieć, lecz nie może. Wierzy ona, że dla nas obojga wszystko jest możliwe. Wszak los „przeznaczył mnie do walki“.

Pod wieczór wracam do obozu. Słońce zachodzi, w lesie gęstnieje mrok. Zdaleka dolatują głosy. Na polanie pod „wiedźmowym“ klonem, płonie ognisko. Dokola skupili się „bandyci“. Pełgają czerwone języki.

— Jegorow!

Dorzuca drzew do ogniska, następnie nie śpiesząc się podchodzi do mnie.

— Co się tu dzieje, Jegorow?

— Towarzysza prowokatora palimy.

— Co takiego?

Spojrzałem. Dopiero teraz zauważyłem, że pod klonem stał człowiek. Jest przywiązany do pnia. Poznaje w nim Sinicyna, włościanina z Mozar. Po przez dym bieleją nagie ramiona i sterczy zwiechrzona czarna broda.

— Łotry!!

— Całkiem nie, panie pułkowniku. Cóż mamy z takim przeklętym robić? Zachłostać go na śmierć — za dużo zajmie czasu; powiesić — ludzie będą szemrać... A więc podpalamy go po maleńku...

Odwróciłem się i nie oglądając się poszedłem w pole. Odchodząc usłyszałem:

— Brodę mu. Fiedia. brodę podpala...

14 lipca.

Fiedia lubi zwierzęta. Z upodobaniem pielęgnuje konie i doi krowy. „Nieme stworzenia“ są dlań przyjaciółmi. We wsi znalazł małego szczeniaka Kasztankę i w zanadrzu przyniósł do obozu. Szczenię jest małutkie, białe w żółte centki i z żółtym brzuszkiem. Niezgrabnie pełza ono po trawie i pyszczkiem trąca w but Fiedię.

Fiedia, jak piastunka bierze go na kolana, wyczesuje zeń swym grzebieniem pchły i myje go mydłem. Jest cicho i upalnie. Fiedia zaczyna podciągać, tak jak śpiewają w lasach po pskowsku:

Tam na górze, na góreczce,
Czubią się komary w sprzeczce,
Dwa się śmieją,
Dwa się biją,
Dwa upadły i nie żyją...

15 lipca.

Obudził mnie letni deszcz. Świta. Las jest pełen cichego szelestu. Wszystko dookoła jest wilgotne, wszystko nachmurzone. Wstaję. Przed namiotem śpi posterunkowy. Śpią pokotem i inni „bandyci“. „Zwyczajni“ — są... Oddawna bowiem obce im już wzruszenia i niepokoje. Wciąż

gam głęboko w płuca zapach deszczu. Cieszy mnie jego niepochwytny szum. Napawam się gęstem orzeźwiającym powietrzem. Dusza pograża się w zapomnieniu. I oto znowu niema — ani obozu, ani mnie, ani „bandytów“, ani lasu. Jest wieczne, jedyne i błogosławione życie. I kędyś tam — jest Olga.

16 lipca.

Ukrywszy twarz w dłoniach, Grusza zaczyna się śmiać. Drżą ramiona i falują wysokie piersi. Pytam ją:

— Z czegoż-to, Gruzo?

Krztusi się ze śmiechu.

— Och, sto pociech z nim... z tym oprawcą twoim, Fiedią Moszenkinem...

— Cóż?

— Franta robi ze siebie. Panią Agrypiną mnie tytułuje... Wstążkę onegdaj mi podarował, a dziś się przyczepił i rubla srebrnego do ręki mi wsuwa. A ja go raz po buzi... Aż się zatoczył, biedaczysko.

— Po co, Gruzo?

Przestała się śmiać i z powagą patrzy mi prosto w oczy.

— Po co?... Alboż jestem ladacznicą?... A że się z tobą zadaję, to nie jest moja вина...

— A czyjaż?

Grusza mileży. A więc mam już i rywala—
Fiedię.

17 lipca.

Wrede przekradł się aż do Kaługi i pod Aleksinem wysadził w powietrze pociąg komisarza. Powrócił do obozu z łupem: wiele pieniędzy, brylanty i trofea — kulomiot, pieczęć „Gubczeka“ i order Czerwonego Sztandaru. Fiedia jest mocno zadowolony. Jednem słowem z nędzy do pieniędzy. Posłałem go do Moskwy po walutę. Rozdam ją okolicznym chłopom. Naturalnie zakopią ją w lesie. Przed namiotem Iwan prowadzi spór z porucznikiem Wrede. Pali papierosa i mówi:

— Pan, naprzykład, myśli, że jest porucznikiem — a poruczników przecież dawno już niema. Byli niegdyś i trawą porośli.

Wrede oburza się:

— Jesteś pan bolszewikiem?

— Cóż z tego, że bolszewik. Wy za to macie głowy, wypchane trocinami... honorem, Rosją, ludem... A ja nie dbam o wasze idee. Bierę życie takim, jakim ono jest — bez upiększeń.

— Rosja — to upiększenie?

— Naturalnie. Pozostawcie ją na boku i czyńcie swoją powinność. Mrówisko jest duże i każdy z nas, jak mrówka dokłada swoją słomkę.

— Pan mianowicie jaką?

— No co, taką samą jak i pan. Przyjdzie jednak czas, a pójdziemy każdy w swoją stronę.

Wrede ironicznie się uśmiecha:

— Pan naturalnie do „Kominternu“.

— Właśnie, że nie. „Komintern“ jest zwykłym handelkiem. W „Kominternie“ są same bestje. Co do mnie — kupię sobie folwark. — A pan... Pan jest przeżytkiem... Zjedzą pana.

— Zjedzą.. lecz kto?

— Tacy właśnie, jak ja.

Wrede obraził się i odchodzi. W dusznym powietrzu wyczuwa się bliskość burzy. Nudząc się bez Fiedi, żałośnie skomli Kasztanka.

18 lipca.

Iwan z porucznikiem Wrede znów się spierają. Słyszę jego basowy głos seminarzysty:

— Biali są poprostu łajdakami, i czas już panu, panie poruczniku, to zrozumieć.

Wrede jak zwykle zapala się:

— Biali są łajdakami? Doskonale... lecz dlaczegoż - to? Dlatego, że grabili, rozstrzeliwali

i siekli różgami? A zieloni? Czyż nie grabią? Oto ja naprzykład obrabowałem pociąg. Nie sieką? Oto pań wczoraj kazał obić Kapługę. I za co? — za pijaństwo. Czyż można bić za pijaństwo? Nie rozstrzeliwują? No, naturalnie! ponieważ palą na stosach. Dlaczego pan wymyśla na białych?

— Bynajmniej nie wymyślam. Mówię tylko, że są to nieboszczycy, których czuć trupkiem: „ich wysokościami“ i złotemi szlifami generaków. Co innego zieloni. Zieloni budują nowe życie.

— Sowdepskie?

— Nie, swoje własne. No, a gdyby nawet i sowdepskie? Dlaczego Sowdep ma być gorszy od powiatowego urzędu ziemskiego?

Przeciąga się nieskończenie długi i męczący spór. O co się oni właściwie spierają?.. Biali są nieboszczykami. Lecz wszak zieloni nie są również aniołami, a czerwoni są podobni bielonym grobom. Nowe życie? Zapewne, tworzy się ono gdzieś. Lecz gdzie? Przez kogo? I jakie? Gdzie jest jeździec z szalą w rękę?

19 lipca.

Nie mogłem dziś w nocy usnąć. Zaszleścił w leszczynie wiatr. Zadrżało i zakołysało się

płótno namiotu. Zahuczał wierzchołkiem kłon. Następnie wszystko ucichło.

Lecz oto rozwarły się czarne, jak węgiel niebios. Błady płomień opasał las na chwilę i następnie zrobiło się jeszcze ciemniej. I zaraz potem groźnie zadudnił grzmot. Miętko zaczął bębnić ciepły, obfity deszcz.

Z ciemności wyłonił się Jegorow.

— To prorok Eljasz turkoce kołami swego wozu. Za Judaszem ugania się wśród obłoków.

— Dlaczego za Judaszem?

— Jasna rzecz: widocznie ten zrowu musiał wydostać się z piekła. Dlatego też Pan Bóg posyła za nim proroka Eljasza. Ten, to już mu nie daruje!

Dwoma palcami Jegorow czyni znak krzyża i długo trwa w milczeniu. Następnie poziewa.

— Deszczyk oto deszczyk! Jakież to błogosławieństwo Boże!

Pytam go:

— A jak tam Sinicyn?

— Cóż Sinicyn! Umarł nie odpokutowawszy za grzechy. Teraz jest razem z Judaszem w piekle.

20 lipca.

Mokeicz—to stary „bandyta“, który w ciągu 4 lat ukrywał się w lasach. Wysłałem go z

wywiadem dotarł do Rżewa i Wiaźmy. W Wiaźmie schwytano go, lecz zdołał uciec z „Cze-ka“.

„Fotografję“ — ma całą w sińcach, na plecach fioletowe smugi; jeden palec odcięty. „Wybadywali“ go, jak mówi. Melduje mi, że czerwoni szykują się do natarcia. To już w istocie strzelać z dział do wróbli. Jest nas raptem 27 ludzi. Coprawda, jutro może nas być i kilka tysięcy! Lecz, kilka tysięcy chłopów — to jeszcze nie wojsko. I tlejąca w nas iskra nie wybuchnie potężnym płomieniem; nie wywoła wszechrosyjskiego pożaru. „Staruszkowie“ medytują, że należy „pókico“ — zaczekać. Niechęć czekać, lecz trudno pchać się na ostrze.

Jegorow opiekuje się Mokeiczem. Poi go samogonką i naciera blizny leczniczemi ziołami. Mokeicz jęczy i przyrzeka, że już nie jeden, lecz stojeden palec odetnie... Przyniósł do obozu moskiewską proklamację. Czytam w niej:— „W powiecie Rzewskim grasuje szajka bandytów, najemników Ententy i białogwardzistów. Towarzysze—Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie! Towarzysze, wszyscy do walki z bandytyzmem! Niech żyje R. S. F. S. R.“... Czytam to na głos. Jegorow słucha i splota:

— Wymówić nawet trudno: Resefeser... I cóż to się ukrywać? Powiedzieliby poprostu: Antychryst.

Grusza znalazła portret Olgi. Olga w białej koronkowej sukni, z parasolką stoi na ścieżce ogrodowej. Lubię bardzo ten amatorski, taki niewymuszony i taki podobny portret. Są to—Sokolniki. Są to — niepowrotne dni.

— Kim jest ona dla ciebie? Siostrą?

— Nie, Gruszo, nie mam siostry.

— W takim razie — narzeczoną?

Zarumieniła się raptownie. Po twarzy przemknął lekki cień.

— Narzeczoną czy nie narzeczoną, ale że jest wielką panią — to widać odrazu... Czyż mogę się z nią równać — ja, prosta dziewczyna od cebra?

— Gruszo...

— Mieszka z pewnością w komnatach, nosi złociste szaty i postukuje srebrnymi obcasikami...

— Milcz, Gruszo!

— Wiem już... Bałamucić chłopkę, a ożenić się z panią, równą sobie... Wszak tak, panoczku?

— Cóż mogę odpowiedzieć? Milczę. Odgadła moje milczenie.

— Widocznie, tęsknisz do niej...

I naraz mówi niemal szeptem:

— Ha, cóż! taki już widać mój los...

Grusza wpada zdyszana. Biegła co sił aż ze Stołbców.

— Uśmierzyciele przyszedli... z kulomiotami. Będzie ich — około stu pięćdziesięciu ludzi...

— „C z o n“? *)

— Tak jest... Starego Kuźmę pamiętasz, tego — u którego tamci trzej się zatrzymali — otóż rozciągnęli go teraz i jęli ćwiczyć — nahażkami. Ćwiczą go — a ten „Ojczy-Nasz“ odmawia... Starszy z pośród nich jak zawrzaśnie nań: — „Czego się modlisz — stary ośle! Przyznawaj się...“ Wysiekli go. Kuźma dowlóknął się do domu, legł na pryczy i przywołał syna Miszutkę. „Miszutka!“ — powiada — „mniejsza o to, że mnie oćwiczono, niechby i na śmierć zasiekli, ale ty bierz karabin i bij ich — biesów. Jeśli zabiją ciebie — pójdzie Sergjusz“.

A uśmierzyciele tymczasem nuże węszyć po zagrodach. Liczą krowy, owce, konie, — nawet psy. Szukają oręża i wciąż się dopytują, kto tamtych trzech zabił. Cała wieś lamentuje, powiadają, że wszystkich starców siec będą, a młodych na Sybir zeszlą... Mój Boże! Czyżbyśmy mieli wszyscy zginać, jak muchy?

Oczy jej płoną złowrogim blaskiem, wargi

*) Oddziały ze specjalnem przeznaczeniem.

ma zacięte. Z niepokojem oczekuje mej odpowiedzi. Treść jej wyczuwa już zawczasu.

— Gruszo, czekaj na mnie w nocy przy Sałopichińskim źródle.

Zrozumiała. Ucieszona szeptem:

„Bij ich.. bij — aby żywa noga z nich nie uszła, żeby podechli wszyscy przekłęci“...

23 lipca.

Wybrałem 15 najzaufańszych „bandytów“ i podzieliłem na 2 oddziały. Jednym dowodzę sam, drugim—Wrede. Dotrę do Stolbców od strony Sałopichińskiego źródła, Wrede od strony gościńca. O drugiej w nocy wyruszamy.

Pozostawiłem swych ludzi w zbożu i sam jeden zbliżam się miedzą do wsi — pełnym blaskiem migocą przed świtem gwiazdy. Przy zapłotkach stoi szylkwach:

— Nie poznajesz, gawronie!!

Mam na sobie hełm i płaszcz czerwonej armji. Na rękawie kwadraciki—odznaki oficerskie.

— Gdzie się mieści sztab pułku?

— Na prawo, koło cerkwi, towarzyszu.

Doprawdy, to nie wieś, lecz królestwo snu. Śpią „uśmierzyciele“, śpią i włościanie, gotując się zapewne do powszechnej chłosty. Przypominają mi się słowa ojca Gruszy: „Lecz któż to

chłoszcze? Wszak swoi: nasi bracia fabryczni, lub chłopi“...

Na przyzbie, koło cerkiewnego domu, ktoś ęmi papierosa.

Wyjmuję nagan.

— Czy tu się mieści sztab pułku?

— Tu. A któż ty taki?

— Towarzysz.

— Towarzysz?... masz dokumenty?

Zadzwończy ostrogi — powstał. Wtenczas rzucam:

— Ręce do góry!

Dostrzegłem, jak porwał za szablę. Lecz strzeliłem mu prosto w pierś i natychmiast wszedłem do sieni. Skrzypnęły dębowe drzwi. Żółty blask olśnił oczy. Na łózkach — „towarzysze - dowódcy“. Jest ich trzech. Na stole stoi samogonka. Rzucam znów: „Ręce do góry!“ I strzelam z namysłem po kolei, z lewa na prawo, prosto w łeb. Mierzę powoli, uważnie i długo. Lecz zzewnątrz już słyhać gwar. To Wrede. To Jegorow. „Hurra! Hurra! Hurra!...“

Wychodzę na ganek. We wsi pełno rzucających się we wszystkie strony ludzi w bieliźnie i bez karabinów.

Przeraźliwie pieją koguty.

Wrede aresztował „wojenkoma“ i przypro-
wadził go do obozu. „Wojenkom“ — jest to mło-
dzieniec w binoklach, były student. Stoi na bo-
saka: buty ściągnął zeń Mokeicz. Wzdryga się
co chwila — i zpodelba rozgląda się dokoła.

Zapytuje:

— Jesteś członkiem partji komunistycznej?

Wbijają wzrok w ziemię. Nie ma odwagi się
przyznać. Spoglądam na mizerną, zsiniałą i po-
bladłą ze strachu twarz.

— Każę cię powiesić.

Pada w proch na kolana. Na kolanach czoł-
ga się ku mnie.

— Towarzyszu! Towarzyszu pułkowniku!..
Zmilujcie się. Wszak jestem jeszcze młody...

— Z młodych lecz cwanych... — przerywa
mu Jegorow. — Wstawaj! Niema poco próżno
mleć językiem!

— Jestem młody. Pozwólcie mi służyć.

— Komu służyć?

— Ludowi.

— Ludowi pragniesz służyć? — powiada Je-
gorow, — biesi, psi synu!

Bandyeci śmieją się. Mają uciechę. „Wojen-
kom“, w dodatku, jeszcze student... Binokle spa-
dły mu z długiego nosa, zaczęły prędko mrugać
opuszczone powieki i lzy potoczyły się z oczu.

— Towarzyszu pułkowniku! Towarzyszu pułkowniku!

Wróciłem do namiotu — i w namiocie usłyszałem krzyk. Nie był to krzyk człowieka. Tak płacze postrzelony zając.

25 lipca.

Za obozem płynie dopływ Dniepru — rzeczulka Wzmościa.

Trzymając się ręką prętów łozy, zstępuje powoli ku małej zatoce. Turzyca drapie mię po twarzy. Noga ślizga się po zatopionej kłodzie. Zaczynam płynąć z prądem. Przecinając mi drogę — płynie wąż wodny. Podniósł żółtą z rozdwojenem żądłem główkę i unosi się w wywołanych przezemnie falach. Spoglądam nań. Spoglądam na wzniesione wysoko słońce — na srebrzystą smugę, na zielony, porośły olchą brzeg i nie wierzę, nie mogę wprost uwierzyć — czyżby jutro miało być to samo, co i dzisiaj? Czyżby jutro miała być znowu farba?

26 lipca.

Mam przy sobie parę książek, aby do reszty nie zdziczeć w leśnych ostępach. Ewangelję, opo-

wieści Puszkina i wiersze Baratyńskiego. Otworzyłem dziś na chybił-trafił:

...Lecz zahuczy burzy grzmot,
I strop niebios zachmurzony
Pod obłoki wzbije wlot
Ziemski proch i liść zielony.
Biedny duch! Bezsilny duch!
Fatalnego losu tehnienie,
Rwie, ponosi mię, jak puch,
Pod burzliwe gna sklepienie.

Czyż nie o nas jest mowa w tych słowach?
Czyż nie my właśnie jesteśmy tym „pu-
chem“?

Czyż nie jest „puchem“ — powieszony „wo-
jenkom“? spalony Sinicyn? Zachłostany niemal
do śmierci Kuźma?

Czyż nie jest puchem Fiedia? Jegorow? Mo-
keicz i my wszyscy. — zieloni — biali — czerw-
ni — nawóz i ziarno Rosji.

Pędzę skryty w głębi chmur,
Ziemskiej obcy już granicy,
Straszny smutków ludzkich chór
Głuszac głosem nawałnicy.

Fiedia powrócił z Moskwy. Ma na sobie nowusienką granatową marynarkę i eleganckie pepita „brydże“. W tym stroju przypomina on dojeżdżacza z prowincjonalnego cyrku. Zadowolony jest bardzo ze siebie. Co chwila wyjmuje z kieszeni lusterko i poprawia przedział na włosach: „Robi franta“.

Zapytuje go:

— Zmieniłeś?

— Zmieniłem, panie pułkowniku.

— Ile?

— Dwa tysiące pięćset funtów.

Fiedia opowiada o hucznym życiu moskiewskim. Bandyeci otoczyli go kołem. Słuchają z przejęciem. Wierzchołki drzew toną w złocie wieczornego słońca. Na dole jest już zmrok. Z brzękiem unoszą się chmury komarów.

— „Ludzie podobni do ludzi — i po ludzku żyją. Grają w ruletkę, piją zagraniczne likiery, dziewczynki na Role-Rolls'ach wożą. Jednym słowem Kuzniecki most. Wyjdiesz tak na miasto koło 4-ej, na ulicach aż się kurzy: kłusaki, „sodkomy“, nepmani — komisarze.

Kubek w kubek jak przed wojną — przy carze.

Otóż i robotnicza władza...

Komunizmu ani śladu. Akcje chama poszły w górę!

Ży-yją!!.. A my, prostaczkowie, rydze po lasach zbieramy. Eech!..

Jegorow marszczy siwe brwi.

— Mileżałbyś lepiej — Fiediu! Za wielka pokusa.

— A co?.. Do Moskwy ci się zachciało?

— Odczep się, chorobu... Biesem stałeś się — biesów radujesz.

Fiedia śmieje się. Śmieją się też i Mokeicz, ten, któremu odcięto palec, i świeżo oćwiczony Kapługa i Titow i Sieńka i Chwedoszczenia i całe to leśne, zielone bractwo. Wszystkim jest wesoło. Wszczyscy zazdroszczą. Zazdroszczą, że gdzieś tam, za siódmą rzeką, w dalekiej Moskwie, akcje chama w górę poszły, i „ludzie po ludzku żyją“, „po ludzku dziewczynki na Roll-Roll'sach wożą“..

Zapytuje siebie: „ziarnem jesteśmy, czy też tylko nawozem“?

28 lipca.

Iwan pełni funkcję skarbnika. Przeliczywszy dziś funty, ponuro zauważa:

— A to lotry... ukradli.

— Czy dużo?

— Trzysta pięćdziesiąt funtów.

Domowy złodziej jest najgorszy. Rozkazuje szajce uszykować się. Bandyci ustawiają się w trzech szeregach, na polanie przy „wiedźmowski” klonie, tam, gdzie palono na ogniu Sini-cyna.

Mży drobny deszczyk.

— Baczość!

Po żołniersku zwrócili oczy na prawo i znie-ruchomieli w oczekiwaniu. Mówię:

— W nocy ukradziono pieniądze. Kto skradł — niech wystąpi.

W tylnych szeregach powstaje gwar. Sły-szę, jak Kapluga odzywa się półgłosem:

— „Czyjeż to pieniądze? Czyż nie nasze?.. Gdy chodzi o napad — to: „za mną!“ — a jak o po-dział — to wara do mego trzosa. Dobrze mówię, towarzysze? — czy nie?“

Kapluga służył dawniej jako marynarz. Nie jest on jednak niestety chlubą i wzorem rewolu-cji, lecz opojem, złodziejem i zbójcem. Wziąłem go do niewoli w Bobrujsku.

— Kaplugo!

Nie odpowiada, chowa się za plecami in-nych. Powtarzam:

— Kaplugo!

Nie śpiesząc, niechętnie występuje z szere-

gu. Ręce trzyma w kieszeniach, czapkę ma zsuniętą na bakier. Zatacza się. Jest pijany.

— Czapkę zdejm!

— A to po co? Postoję i tak. Wszak nie w cerkwi jestem...

Silnie z rozmachem wymierzył mu policzek.

— Mileżeć! Tyś ukradł?

Wyciera krew rękawem i bąka:

— Ukradłem? Weale nawet nie ukradłem...

Poprostu wziąłem... wziąłem swoją własność... panie pułkowniku!

— Swoje własne?

— Tak jest — swoje własne...

— Powiesić!

Jegorow i Fiedia zbliżają się doń. Po dawnemu mży dokuczliwy deszcz.

29 lipca.

Pożera mię tęsknota lasu. Czuję się, jak w więzieniu. To nie są gałęzie — lecz wzorzyste kraty. To nie szelest liści — lecz brzęk kajdanów. Nie obóz — lecz cztery nagie ściany. Tak! niepodobna wyjść z zaczarowanego koła: Fiedia, Jegorow, Wrede... Tak! niepodobna przerwać zwartego nieścienia: batogi, szubienica, rozstrzeliwania...

30 lipca.

— Fiedia nawpół leżąc próbuje włoskiej harmonji. Ma na sobie „brydże“ i chromowe buty.

— Fiediu!

Zrywa się.

— Słucham pana, panie pułkowniku.

— Cóż tam? uspokoili się?

— A jakżeby miało być inaczej?.. Gdyby sprać tak jeszcze Titowa i Chwedoszczenie, całkiemby byli przyszli do rozumu...

— Czyż ci również kradli?

— No nie.. ale zawsze.. na wszelki możliwy wypadek.

Mówiąc to, gładzi Kasztankę. Ta, bawiac się, usiłuje chwycić go za palec. Fiedia śmieje się.

— Ech! bezzębna... ty bestyjko... A z nami, panie pułkowniku, inaczej i nie można. Uczyć nas należy! Gruboskórne z nas plemię, panie pułkowniku. O sobie jeno myślimy.

31 lipca.

Iwan i Wrede pogodzili się wreszcie. Nie spierają się już więcej. Każdy jest przekonany, że ma rację. Lecz z Iwana „dowcipnik“ — jak mówi Fiedia. Przy obiedzie odzywa się on:

— A więc wasza-mość jest obecnie „specem“?

— Ja — „specem“? — w jakiej dziedzinie?

— W kobiecej.

Wrede rumieni się.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— A no, Gruszeńka ta, w różowej bluzeczce... Jeanne d'Arc ze Stolbców... „Poznać łatwo rączę konie“... — jak to powiedział pan poeta, Aleksander Puszkina.

Wrede wbija wzrok w stół. Żal mi go. Zauważyłem już dawno, że Grusza mu się podoba. Lecz jest on nieśmiały. Nie ma odwagi zbliżyć się do niej. Nie wie, co i jak ma powiedzieć. Jest paniczem. Być może w istocie — Grusza wydaje mu się Jeanną d'Arc.

Fiedia roznosi na tacy herbatę. Taca jest staroświecka, srebrna, pokryta patyną. „Zafasował“ ją w jednym z „sownarehozów“ nieboszczyk Kapługa.

Iwan ciągnie dalej:

— „Ofiarowałyby pan jej pudełko cukierków, słodkich, wykwinnych, od Albrikosowa czy Siu. Albo też flakon perfum od Brokara... I myślałby pan sobie, że nie jest ona chłopką, lecz powiedzmy — księżną, a conajmniej córką generała...

— Panna Agrypina? — mruży Fiedia jedno jedyne swe oko. Lecz przecież jeżeli ją wystroić, to zapędzi ona w kozi róg wszystkie księżny — i będzie najpiękniejszą wśród pięknych. To nie

dziewczyna, a prawdziwy pączek, panie poruczniku.

Panna Agrypina... Grusza... Nie kocham jej, lecz nie myślę dzielić się nią—z nikim.

1 sierpnia.

Grusza przekradła się do mnie w nocy. Obejmuje mię i szepce:

— Dzięki Bogu, wytepiłeś tych biesów przeklętych. Strach tylko pomyśleć, że mogą powrócić—znowu.

— Racja—powrócą! Racja —spalą Stolbce i nie pozostawią kamienia na kamieniu. Uśmie-rzyciele robią wszędzie porządek. Już kirgizi gospodarują pod Duchowszczyną. Już chińczycy rozstrzeliwują w Możarach. Już pracuje w Sy-czowce „Cze-ka“. Co czynić?

— Zabierz mię, na Chrystusa, ze sobą...

— Dokąd?

— Dokąd chcesz... do Moskwy.

Znowu Moskwa. Znowu ani śladu zwątpie-nia, znowu niezachwiana pewność w swoje i mo-je siły. Lecz naraz twarz jej zamroczyła się.

— A ta... ta pani gdzie mieszka?

— W Moskwie.

— W Moskwie...

Zaczyna płakać. Płyną kobiece, obfite łzy. Nudzi mię to. Mówię:

— Gruszo, a Wrede?

— Co, ten oficer, ten paniczek? Mało ich jest, czy co? Lgną, jak muchy do miodu. O zabawę jeno im chodzi, źrebcom spasionym...

Wiem, ta dziewczyna należy do mnie całkowicie. Lecz cóż mogę zrobić? Wszak jutro, być może, nie będzie już Gruszy—nie będzie i mnie...

Całuję ją. Biję od niej zapach siana.

2 sierpnia.

Iwan to produkt fabryczny. Takich, jak on, Rosja wytwarza codziennie dziesiątkami. Lecz wyszedł on z innej niż my tłoczni. Wyrośliśmy w cieplarniach, w więzieniach lub w „wiśniowym sadzie“. Książka była dla nas objawieniem. Czytaliśmy Nietzsche'go, lecz nie umieliśmy odróżnić oziminy od jarzyny. Zbawialiśmy lud—wyobrażając, że składa się on jeno z moskiewskich „Wańków“ *), „przygotowaliśmy“ „rewolucję“ — lecz z obrzydzeniem odwracaliśmy się od widoku krwi. Byliśmy panami, chłopomanami z obywatelstwa. Zmienili nas nowi ludzie. „Marzą“ oni wyłącznie o sobie.

*) Dryndziarzy.

Już wieczór. Łagodnie płonie woskowa świeca. Iwan nocuje dziś w namiocie. Poziewa—następnie mówi:

— Folwark nabędę, zaprowadzę holenderskie krowy, zasieję len—i ożenię się z majątną.

— Przecież przedtem wezmą pana na „kielbaski“....

— Niech pan się nie obawia. Wiem, co u nich w trawie piszczy... Dlaczegoż opuściłem ich? Bardzo proste. Wszystko mi jedno, czy jest Sownarkom, Sowiety, Konstytuanta, czy nawet jakiś inny djabeł... Co do mnie—to pragnę pracować. Rozumie pan— pracować dla siebie, nie zaś dla wielkopańskich fantazji lub dla idjotycznej socjalizacji. No, a czyż możliwe to jest przy komunizmie? Kuj jeno różne książeczyny, śpiewaj—, „to już będzie ostatni“ — i dawaj „towarzyszom“ łapówki. Dopiero wówczas, gdy zwycięży chłop — zacznie się ład i porządek. Potrzebny mu jest porządek, jest zwolennikiem prywatnej własności — dlatego też był komunistą. A Rosja? — Rosja to upiększenie. Czyż nie jestem szczęśliwszy i bogatszy od niego?

3 sierpnia.

Krocę polną drożyną— wśród łanów. Jeszcze nie zżęto zboża. Jeszcze rumienia się kraśne maki i wśród bursztynowych kłosów ukrywają

się modre gwiazdki bławatków. Jest południe. Słodką goryczą pachnie piołun.

Koło Możar skręcam na gościniec. Przy drodze leży znany mi folwark. Mieszka tu „rezydent“, mój wielki przyjaciel, kupiec Ilja Korabłow.

Pusto jest w ogrodach, pusto w stajni, pusto na obszernem, skrzętnie zamiecionem podwórku. Tylko w stawie, rozpryskując wodę, kąpią się kaczki. Na płocie—dziesięcioletni malec. Siedzi i wymachuje czarnymi opalonymi nożynami.

— Witaj, nie poznajesz mię, czy co, Włodku?

— Zostaw mię w spokoju.

Zostaw mię.. Kocham dzieci, kocham i Włodka. Wybiegał stale na moje spotkanie i opowiadał mi o swoich chłopięcych sprawach. O rybach-głowaczach, o kukułczych gniazdach, o szeszurach i o żrebnej klaczy Tekluni. Lecz dziś jest ponury, patrzy z podeśbą, jak mały wilczek.

— Tatko w domu?

Zasepił się i milczy.

— Gdzie tatko?

— Niema tatki... Zabili. Przyszli i zabili.

— Kto zabił?

— Czego tu jeszcze stoisz? Powiedziałem: zostaw mię...

— A mama?

Drgnęły ponsowe usteczka. Opędza się wątlą, również opaloną rączyną:

— Mama.. Mamę ze sobą... zabrali...

— Więc jesteś tu sam jeden?

— Zostaliśmy we dwoje z Żuczkiem. Ale zostaw mię już — wreszcie — ty, nierozważny. Na dobrą sprawę zabijają i mnie.

Wolnym krokiem wracam do domu.

4 sierpnia.

Iwan powrócił z wywiadu. Melduje mi:

— „Idę sobie — a przy Sałopichińskim źródle stoi miejski milicjant. Podszedłem. Zapalił mi papierosa. Pogawędzili—o tem i o owem: a kto, a skąd? Mówię mu: jestem komunistą i pokazałem dokumenty. Zostawił mię w spokoju. — „I ja również“ — powiada — „jestem komunistą. Ilu już tych białych w swem życiu wyprowadziłem na tamten świat. Na Syberyjskim froncie i koło Omska... A teraz oto na zielonych poluje. Grasuje tu szajka bandytów. No, ale damy sobie z nią prędko rady. Potańcują oni, serdeczni, w „Cze-ka“. — Słuchałem, słuchałem — następnie powiadam: — „Zuch z ciebie — niema co! prawdziwy zuch“. A potem wyjmuję nagan i przykładam mu do skroni. Nie wierzy mi: — „Co za żarty—towarzyszu?“

— „Jakie żarty? Serdeczny — ręce do góry!“ — Aż włosy mu się zjeżyły pod czapką.

— Oto jest zegarek i legitymacja partyjna. Fiedia ogląda zegarek. Jest to złoty zegarek z biciem. Fiedia nastawia strzałkę na „bicie“.

— Trzy, cztery, pięć, sześć... Szósta godzina! Bardzo sprytnie. Może nastawić samowar?... Ech, nakręcę—zakręcę dla pana Iwana—samowarek nastawię... Powinszować panu—przybytku, panie kornecie.

5 sierpnia.

„Nie zabijaj“... Przypomniały mi się znowu te słowa. Kto powiedział je i po co? Po co mają istnieć przykazania, które są niewykonalne: ponad siły dla słabych ludzkich dusz? Żyjemy „w złości i nienawiści, jesteśmy nikczemni i nienawidzimy się wzajemnie“. — Lecz jednak nie myśmy otworzyli księgę, „napisaną wewnątrz i zewnątrz“. Lecz jednak nie myśmy powiedzieli: „chodź a patrzaj“... Jeden koń—biały, a który na nim siedział, miał łuk i koronę. Drugi koń — rydzy — a jeździec trzyma wielki miecz. Trzeci koń — wrony — a czwarty koń błądy — a jeździec nosi imię: śmierć. Słyszę, jak również wielu słyszy: „Dokądże, Panie Święty

i Prawdziwy, nie sądzisz i nie mścisz się krwie naszej nad tymi, co mieszkają na ziemi?”

6 sierpnia.

Kwitną lipy. Ziemia jest gęsto skropiona blado żółtymi, wonnymi płatkami. W skwarze omdlewa las, dyszy poziomkami i miodem. Nie spiesźnie wygwizduje swą pieśń—dudek. Nie spiesźnie skrobą się w sosnowej korze pełzacze i w tających obłokach krzyczy niewidzialny jastrząb. We dnie — beztroskie życie, w nocy — śmierć. W nocy niepostrzeżenie zakolysze się trawa i zaszeleści liśćmi leszczyna. Coś zakwili żałośnie. Żałosne to przedśmierne kwilenie. Wiem — w lesie znowu dokonano zabójstwa.

7 sierpnia.

Wrede mówi mi:

— To wszystko jeszcze nie to; jeszcze nie to..., panie Jerzy.

— O czem pan myśli, panie Wrede?

— O nas, o zielonych... No, przypuścimy, że biali są łotrami. Wszak dlatego porzuciłem ich... Myślałem, że tu w lasach będzie lepiej...

— W lasach rzeczywiście jest lepiej.

— Lepiej? A zielona, chamska ciemnota?

Antychryści—prorocy Eljasze, stosy... A w istocie powszechne — hulaj dusza!

— Cóż, panie Wrede, jest pan teraz za czerwonymi?

Wybuchą:

— Za czerwonymi?... Jak pan może tak mówić! Pragnę uczciwego życia, pragnę otwartej walki. Jestem oficerem, nie bandytą lub złodziejem... No dobrze. Zwycięzimy — chłopci zwyciężą... Cóż dalej? Chłopskie państwo?

— Tak, chłopskie państwo.

— A my? — Uśmiecham się:

— O co panu chodzi, panie Wrede?

Zamyślił się. Następnie mówi powoli:

— O co mi chodzi?... Chcę, aby takim Mokeiczom nie ucinano palców i aby tacy, jak Włodek, nie pozostawali sami na świecie. Chodzi mi o to, aby Kapłudzy — nie kradli. Pragnę — aby nie było ani „rudych“, ani „kosmatych“, ani „wojenkomów“, ani prokuratorów, ani Cze-ka... Pragnę...

Przerywam mu:

— Jednym słowem, pragnie pan raję na ziemi...

W lasach twarz jego zmęźniała, lecz poza-tem jest on wciąż jeszcze podobnym do dziewczyny, chłopakiem. Ani rusz nie może się pogo-

dzić ze złem. Nie wie on, że trzeci koń—to koń wrony... Ze wzruszeniem zapytuje mię:

— O co właściwie walczymy? Niech pan mi wytłómaczy.

I odpowiadam mu: o Rosję.

8 sierpnia.

Szczepan, ojciec Gruszy, przekradł się do obozu w nocy. Z trudnością poznają go: brodę ma powyrywaną kłakami, jedno oko spuchnięte, a z drugiego sączy się krew. Fiedia przygląda mu się, następnie mówi:

— A więc tak, tak, bili w pysk, jak w bęben... Cóż to za ludzie, doprawdy! Cóż to za łotry! Dalibóg sumienia nie mają!

Szczepan wzdycha.

— Och, panie szanowny, wszystkich zabrano, a nas, starców, zaczęli ćwiczyć... Powiadają: wieś spalimy, żeby i pamięć o niej zaginęła, a wy, starcy, jak sobie chcecie. Pozdychacie — tem lepiej... Grusza nie chciała iść... Schwyciła siekierę i woła: „Zabiję“! Lecz gdzie tam! Związali ją i powieźli. Och, obroń ją—obroń! Co począć teraz? O, Matko Przenajświętsza! O święta Męczennico Barbaro!..

Zrozumiałem jedno, że Grusza jest aresztowana. Zapytuje:

— Dokąd, ją powieźli, do Rżewa?

— Do Rżewa, szanowny panie... do Rżewa.

Przez Zubowo i Syczewkę...

Mówię do Fiedzi:

— Siodłaj konia.

Rzucił się ku spętanym koniom. Czekam.
Robi mi się zimno. Ręce zaczynają mi drżeć

9 sierpnia.

Wpław przeprowiłem się przez Wzmoście i na przelaj pędzę w stronę Syczewskiego gościńca. Pędzę przez leśne ścieżyny, parowy i ścierniska. Gałęzie smagają mię po twarzy, liście szumią koło uszu. Spieniony koń zaczyna chrapać: przypomina mi się Hołubka. Chłoszczę go aż do wycieńczenia nahajką. Wpijam się ostrogami w oćwiczone boki. Koń zaczynał tracić już siły, gdy w oddali zamajaczyła Syczewka. Niestety—przybyłem zapóźno. W Syczewce nie było już Gruszy.

10 sierpnia.

Fiedzia był w Rżewie. Dowiedział się, że Grusza siedzi w „Cze-ka“. Badano ją. Nie powiedziała ani słowa. Grożą jej „korkami“ i Moskwą. Wiem—co to są te „korki“. Ściany, podło-

ga i sufit—wyłożone są płytami korkowemi. Człowiek powoli traci rozsądek, siły i wolę. Chińczycy stosują torturę ze szczurem: żywego szczura sadzają do rondla, rondel przewracają i ustawiają na brzuchu więźniowi. Szczur szuka wyjścia, przegryza skórę, następnie kiszki, potem plecy—nim nie wydostanie się na zewnątrz, zanim nie pogryzie, nie stoczy człowieka na śmierć. Nie jest że wobec tego dziecinną zabawką — palenie na stosie?

Nie mogę spać. Cwierkają pasikoniki. To gorące i suche ówierkanie ani na chwilę nie daje mi spokoju. Pachnie sianem... Jegorow skosił właśnie trawę i koło namiotu leżą świeże, sperlone rosą kopy. „Mój Boże — czyżbyśmy mieli wszyscy zginąć?“ Nie, Grusza nie zginie. Zginą ci, którzy ją porwali. Zginą gady. Zginą biesy...

Wrede zwraca się do mnie z ciemności:

— Panie Jerzy, co czynić?

— Jakto, co czynić? — idziemy do Rżewa.

— Lecz jest nas wszystkich razem, załedwie trzydziestu.

— Jeśli pan się boi — pozostań pan w lesie. Milczy. Czemuż go obraziłem? Wiem przecie, że dla Gruszyon pierwszy wyruszy na Rżew.

11 sierpnia.

Gruszy niema... Nie słyszę z wieczora jej kroków; zrana nie widzę jej uśmiechu. Nie jestem w więzieniu — jestem na pustyni. Nikt już nie powie mi: „Sokoliku — gołąbku“. Nikt nie wybuchnie wesołym śmiechem. Nikt nie zapłacze. Dokoła ciemna i głucha noc „bestja stuoka“.

12 sierpnia.

— Ty, Fiediu, wysadzisz most na Gżaci! Pan, panie Wrede wkroczy do Rżewa ze wschodu, po moskiewskim trakcie. Ja wejdę z południa, ze strony Syczewki. Biorę „Czeka“ na siebie — wy zaś „Ispołkom“. Punkt zborny przed komendą placu. Załoga jest niewielka: czerwoni poszli na Kaługę. Szukają nas w Mieszowskim powiecie. Iwan i Jegorow pójdę ze mną. Wyruszamy o 3-ej w nocy. Oto moja dyspozycja. Nie dyspozycja — lecz szaleństwo. Tak powiedziałby pułkownik Meyer. Tak myśli oczywiście i Wrede. Mówię że załoga niewielka — lecz „niewielka“ to znaczy 300 ludzi. Wszystko mi jedno. Wszystko mi jest jedno — ponieważ niema Gruszy — i dlatego — że „gońcie i prześladujcie wrogów i nie wracajcie dokąd nie wytępicie ich“.

13 sierpnia.

Zdobyliśmy Rzew. Zdobyliśmy go o świcie—kiedy wschodziło rumiane słońce i w podmiejskiej cerkiewce dzwoniło na jutrznię. Padli — Mokeicz, Titow i Chwedoszczenia. 12 „bandytów“ zostało ranionych. Miasto jednak jest w naszym ręku. Jesteśmy „kalifami“ na godzinę — gdzie jest Grusza?

14 sierpnia.

Gruszy niema. Nie znalazłem jej ani w „Czeka“, ani w powiatowym więzieniu, ani w koszarach. Niema Gruszy... Pocóż narażałem szajkę —pocośmy wzięli Rzew?

Wrede melduje mi, że czerwoni zbliżają się. Z Moskwy zdążają 3 dywizje. Trzy dywizje... Doskonale. Opuścimy miasto. Dobrze. Odejdziemy bez Gruszy. Wołam Fiedię:

— Ile słupów latarnianych stoi na rynku?

— Nie rachowałem, panie pułkowniku.

— Przelicz tedy i na każdym słupie powieś —rozumiesz?

— Tak jest, panie pułkowniku. Rozumiem.

15 sierpnia.

Powiedziałem: „Zmykaj, kto w Boga wierzy!“ — i niema już „bandytów“—ani „szajki“.

Niema nikogo. Są pojedynczy, nieuzbrojeni ludzie, którzy rozproszyli się — wśród okolicznych lasów Z kimżeż będą wojować czerwoni?

Konno opuszczam Rzew. Co właściwie osiągnąłem? Oto znowu znajome, wiekowe znużenie ogarnia mię. Nie—gorzej jeszcze. Za mną opustoszałe obozowisko, przede mną... Czegoż jeszcze można spodziewać się od przyszłości? Zapłonęły dokoła wsie, ze świstem uderza nahałka, kłękocą kulomioty. Nie widać końca samobójczej rzezi. Spłynęła łzami cała Rosja — uwiadł wielki naród.

Wieczór. Czerwoną luną rozpalila się zorza — i zgasła. Na tle przezroczyściego, seledynowego nieba czernieje dziewięć słupów. Dziewięciu wisieleców. Wszyscy z obnażonemi głowami i w bieliźnie. Wszyscy z otwartemi ślepemi oczyma—i wszyscy kołyszą się na wietrze.

— Za Moskwę. Za Stolpce. Za Gruszę.

III.

Zbliżam się do telefonu

— 170-03...

— Hallo! 170-03? Proszę poprosić towarzysza Kowalowa.

— Hallo! czyś to ty, Fiediu?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Ostrożnie. Nie jestem wszak teraz pułkownikiem.

Słyszę jak się śmieje.

— Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. Nie sobie z nich nie robię.

— No, jakżeż tam?

— W Kuncewic. Na trzecim zapasowym torze.

— Tak... A jak ci się powodzi?

— Mnie? Niedługo za gorliwość awansują

mię na komisarza... Wczoraj robiłem rewizję. Opozycjonistę białogwardzistę miałem chwycić! Ale zbiegł mi, przeklęty...

Wieszam słuchawkę. A więc pociąg stoi w Kuncewie. My jesteśmy również „opozycjonistami“ i „białogwardzistami“. Wysadzimy go w tym tygodniu.

4 lutego.

Fiedia, to już nie Moszenkin, lecz Kowałow. Jest współpracownikiem „Wie-Cze-Ka“. Jegorow—nie Jegorow, lecz Łarjonow. Pełni obowiązki stróża w „Narkomzdrawie“. Wrede — nie Wrede, lecz Łazo. Służy w czerwonej armji i dowodzi szwadronem. Wszyscy trzej mają sfalszowane, właściwie „martwe“ dokumenty, dokumenty zabitych. Wszyscy trzej w partji są komunistami z „przekonania“. Iwan zaś jest — „spekulantem“, nosi dawne nazwisko i podtrzymuje łączność z „komitetem“.

Ja — całkiem bez nazwiska i niewidzialny ukrywam się u różnych osób. Ludzie ci oczywiście narażają swe życie.

Jestem w Moskwie. Niemożliwe stało się możliwem... Mogę powiedzieć o sobie:

— „W drogach częstokroć, w niebezpieczeństwach rzek, w niebezpieczeństwach rozbójni-

ków, w niebezpieczeństwach od rodziny, w niebezpieczeństwach od Poganów, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach między fałszywą bracią. W pracy, i w kłopotcie, w niespaniu częstem, w głodzie i w pragnieniu, w pościach częstych, w zimnie i nagości“ — gdzie jestem obecnie? Czyżby znów w „otchłani morskiej?“

Jak często w gorzkich dniach rozłąki,
Miotany losem tu i tam,
Tęskniłem, Moskwo, do twych bram...

A dziś... dziś nie znajduję ukochanej mej Moskwy. Dziś wszystko jest mi obce. Na placach — rządowe „monumenty“. Na sztyldach — obrażające słuch rosjanina słowa. Pomnik Marksa. Mój Boże, Marksa! Płaż obok — „Narkomzdraw“, „Proletkult“... „Moskwotop“... „Narkomprod“... Kroczę Arbatem.

Lśni zimowe słońce, śnieg skrzypi pod nogami. Te same topole, brzozy, te same zadumane wille. To samo prowincjonalne, moskiewskie bytowanie. Lecz oto naraz zahuczła i zakopciła naftą „maszyna“. Hałas, natarczywy gwizd. Przelatują — „władcy tego świata“. Akcje chłopa w górę poszły... Opuszczam oczy. Nie chcę, nie mogę ich widzieć.

Olga mieszkała niegdyś na Cwietnym bul-

warze. Wszedłem na szerokie podwórze i wspiąłem się na 4-te piętro. Otworzył mi „towarzysz“ z twarzą o wydatnych kościach policzkowych, ubrany w skórzaną kurtkę: — „Niema takiej... nie mieszka“.—Gdy zatrzasnęły się drzwi, długi czas stałem na schodach. Zciemniało się. Na dole, w „domkowie“, u dozorca, słychać było głośne wymyślania.

6 lutego.

W moim pokoju nagie ściany przykryty brudną serwetą stół. Na stole stoi nieczyszczony samowar. Przy samowarze — Jegorow. Pije herbatę. Pije po chłopsku, ze spodka, przegryzając cukrem, ma się rozumieć z własnego kubka. Nosi go ze sobą w kieszeni.

— A jak pijesz herbatę w „Narkomzdrawie?“
—wszak religja, to „opjum dla ludzi“...

— Jak piję?—według przykazania. Jeden djabeł usiłował mię przekonać. „Jaki z ciebie, powiada, komunista? Jaki, powiada, nieuświadomiony proletariusz? Boga niema. Boga wymyślili popi“... No, ale temu dałem małą nauczkę: „Komuna—komuną, a od Boga wara, bo ci łeb ukręcę“. Ach panie pułkowniku, nie przystoi mi pełzać nakształt węża — no i niema celu tymczasem... a jaki grzech, jaki grzech...

— Dlaczego grzech?

— Jako dlaczego? — całutki dzień jest się pośród biesów, słyszy się ich mowy, dogadza się im... tylko patrzeć jak sam zostanę biesem—...

Gospodyni, pani Pelagja wynosi opróżniony samowar. Twarz ma wyczerpaną z zielonym odzieniem. Mąż jej pracuje jako mechanik w fabryce — „nie w fabryce lecz w carskiej katordze“ — jak powiada.

Jegorow spogląda na nią z nieufnością.

— Czy też—djablica?

— Nie, nasza... Słuchaj no Jegorow...

— Słucham, panie pułkowniku.

— W Kuncewie, na 3-im zapasowym torze stoi pociąg. Naładowany jest pociskami dla moskiewskiego garnizonu. Jutro masz wolny dzień. Wysadzisz go w powietrze w czasie obiadu.

Jegorow kiwa długą brodą: „Otóż, chwała Bogu, jest i cel“. Następnie mówi dobitnie, jak w szeregu:

— Rozkaz, panie pułkowniku.

7 Intego.

Kuncewo. Mroźny ranek. Blask śniegu oślepia wzrok. Z prawej strony park, puszyste trójkąty świerków — „butelki od piwa“ — rzekłby

artysta Fiedia. Z lewej strony — stacja—szyny. Trzeci zapasowy tor.

Za pięć minut pierwsza. Czekam... Dostrzegam: w 4-tym wagonie od przodu błysnęła iskra. Błysnęła i zgasła. Naraz—wybuchnął raptowny płomień. Rozległ się krótki i przytłumiony huk. I oto porywając za sobą drzazgi, wyrwał się z wagonu prawdziwy huragan. Fontanną wzbił się pod niebiosa i rozplynał się podłużnym, ognisto - żółtym pierścieniem. Pierścień ten zawisł w powietrzu. Zawisł nad lasem, jak groźne i wszystko widzące oko.

Dokoła w powietrzu zaczęły przelatywać odłamki... Czekałem. Nie próbowałem odejść. Nogi wrosły mi w ziemię. Czekałem końca. Czekałem ostatniego wybuchu. POCO? nie wiem... Chciałbym powiedzieć i nie umiem.

8 lutego.

Okno moje wychodzi na podwórze. Krajobraz: — śmietnik i soplek lodowe na rynnice. Półmrok nawet w południe. Przykry odór nawet w czasie mrozu. I to ma być Moskwa?! Z oddali, wśród lasów i w pochodach Moskwa jaśniała ni-by gwiazda przewodnia. A więc jestem w Moskwie. Czyż wielkie święto? Nie, dzień powszedni. Powszedni jest poranny samowar, powszed-

nia bezbarwna pani Pełagja, powszednie są Preczystienka i Arbat. Trudno żyć bez „uszlachetniającej złudy“. A jeszcze trudniej walczyć. Grusza walczyła o prawo do życia. O cóż ja walczę?

Nie wierzę w „programy“ i ma się rozumieć nie wierzę „wodzom“. Walczę również o życie, o prawo życia na ziemi. Walczę jak jakie dzikie zwierzę, pazurami, klami i krwią. Powiedziałem: „na ziemi“. Kłamstwo — nie na ziemi lecz w Rosji. Niech to będzie powszedniość. Niech półmrok. Niech śmietnik—!

Lecz wszystko to jest mi moje, blizkie, rodzone — jak blizką i rodzoną jest Olga.

9 lutego.

Siedzimy na Strastnym bulwarze. Zmierzcha się. W zaułkach hula wiatr. Zapalają się latarnie. Fiedia słuwa.

— Wie pan, panie pułkowniku, że zapisałem „towarzysza“ na rozchód?

— Co ty mówisz Fiediu? tu w Moskwie?

— Tak jest. W Moskwie. Zwierzchnika mego Sobola.

— Kiedyż to?

— Dzisiejszej nocy. Dowiedziałem się, że mieszka on na Dziewiczem polu. Przeczytałem się w bramie — i oczekuję niby zbir. Niema nikogo...

Ciemno, choć oko wykol. Naraz patrzę, drepcze łajdak, nóżkami. Wychodzę tedy, zrywam zeń czapkę, i bac naganem po ciemieniu. Aż przysiadł. — Ściągam z niego futro, a ten wytrzeszczył oczy i bełkoce:

— „Kowałow... Kowalow“... To znaczy, ja. No, przygwoździłem go naturalnie.

— I obrałowałeś..?

— Czyż według pana, dobro miałoby się marnować? A rankiem w urzędzie — cała awantura: „towarzysz Sobol zabity... w celu rabunku“.

Wtrąciłem: — „towarzysze, a może to białogwardziści!?“ Gdzie tam... Wszak jeśli białogwardziści — gotowa być nieprzyjemność. Nie dopatrzono. A do tego jeszcze ten wybuch...

Kłopotów wyżej uszu. Ledwom się wydołstał. Nie puszczano. Chciano, bym tropił zabójcę.

Fiedia uśmiecha się chytrze. — On i tu gra w dalszym ciągu w wiedźmę i naturalnie bez przegranej. Oto — doprawdy pogodna dusza!

10 lutego.

Dziś moje urodziny. Zapomniałem o tem, naturalnie. Lecz Fiedia pamiętał i ofiarował mi „obrazek“. Na obrazku wymalowany bukiet, —

kwiaty związane różową wstążką. Na wstążce wierszyk:

W dniu dzisiejszym ślą bandyci
Moc najlepszych życzeń swych,
Jest Pan naszym sławnym ojcem,
I postrachem biesów złych.

Pod wierszykiem wykaligrafowany adres Olgi: Mołczanowski zaułek nr. 10. Fiedia zdobył go w „Wie-Cze-Ka“. Odnalazłem Olgę. Jestem szczęśliwy.

— Dziękuję ci, Fiediu... lecz dlaczego napisałeś... „ojciec“, a w dodatku „sławny“?

— Sławny dlatego, że wślawił się Pan w Bobrujsku i Rzewie, a ojciec...

Wyciera nos jedwabną, naturalnie „zafasowaną“ chustką. — Następnie mrugając jedynym okiem mówi:

— „A ojcem, dlatego że... dlatego że nie pogardził pan nami“...

11 lutego.

Krzyknęła i cofnęła się od progu. Nie proponując mi siadać, ani też siadając sama — rzekła:

— Jerzy... ty — jesteś bandytą?

Spojrzałem na nią. Oto czarna, zapięta pod szyję suknia. Oto wążka, nieozdobiona pierścieniami, ręka. Ma obcięte włosy. Jest w niej coś obcego. Mniszka? Czy też... czy... Ach nie! to niemożliwe.

— A ty? kim ze ty jesteś?

Odpowiada ze stanowczością.

— Jestem komunistką.

Usiadłem. Dopiero teraz zauważyłem że pokój jest prawie pusty: łóżko, stół i dwa krzesła. Na ścianie wisi portret Marksa.

— Ty... jesteś bandytą?

— Tak. Jestem „bandytą“.

— Białogwardzista?

— Białogwardzista?

— Najemcą Ententy?

— Pocóż te urzędowe, wykute na pamięć słowa?... Odpowiadam oziębło.

— Nikt nie kupi mię Olgo.

— Więc pocóż?... dlaczego?...

Rozwiodła ręce. Wysila się, aby mnie zrozumieć i nie może... Ja również.

12 lutego.

Olga mówi w uniesieniu:

— Jerzy... wszak walczyłeś w imię rewolucji. Czyście to wy jej dokonali? Wszak myśmy

zdetronizowali cara. Wszak myśmy wywalczyli wolność...

— Odtąd, nie mów nic o wolności.

— Odbudowaliśmy przecież Rosję...

— Nie mów nic o Rosji.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wolności niema! Dlatego, że niema i Rosji.

— Niema wolności? A wy? — nie wieszacie, nie rozstrzeliwujecie? nie palicie?... Niema Rosji?.. — A wy czyż nie obijacie obcych progów?

— Olgo zamilcz!

Powstała. Oczy jej pociemniały. Uderza dłonią w stół.

— Czemżeż jest dla was krew i łzy—ludu? Czem jest sprawiedliwość? Ojczyznę kochacie wyłącznie dla siebie... Cenicie jeno własną wolność... I nie widzicie, że stary świat rozsypuje się w gruzy... Nie... Zepsuliście rewolucję... Zdradziliście Rosję... Jesteście wrogami... Słyszysz Jerzy — jesteś moim wrogiem...

Powstaje także.

— Cóż Olgo? wydaj mnie tedy.

— Cóż znowu, Jerzy! bój się Boga!... Ukryła twarz w dłonie i płacze. Kto to jest?.. Olga... I kędyż ja jestem? W celi? W pustelni. I po-

cóż tu ten portret w złoconych ramach? Słyszę, jak mówi, przez łyż:

— Jerzy... Jerzy... Po coś ty przyszedł?..

13 lutego.

Pocóm przyszedł?..

— „Tobie dam władzę tę wszystką i chwałę ich: bo mnie podane są, a komu chcę dawać je. Ty tedy, jeśli się pokłonisz przedemną, będą twoje wszystkie“.

Kusiciel był bliski prawdy.

Królestwa były jego własnością. Kamień staje się nieraz chlebem — i można rzucić się w dół i nie urazić nogi. W tem słowie „bliski“ — cała pokusa. Czem zaś jest prawda? Nie znamy jej. Nie znają jej i oni. Przeminie czas i nie będzie ani szubienic — ani egzekucji. Nie będzie Fiedi. Nie będzie Cze-ka. Nastąpi powszechny „dobrobyt“. To nie studnia rozwarła się. To mrok oślepił oczy. Olga — i zadowolony z siebie, pełen zaciętej wielkości portret — Olga i próba kuszenia. Olga i niepołhamowany gniew.

Wieczór. W pokoju jest pusto. Za ścianą chrapie gospodarz. Jest mi zimno. Nie zapalam światła.

Wchodzi do mnie Fiedia. Jest blady. Rude włosy sterczą mu w nieładzie. Raz jeden widziałem go takim — podczas nocnego ataku.

— Ledwom dobiegł, panie pułkowniku... Proszę się przygotować. Dom jest otoczony.

Nie wierzę. Nie wierzę aby w Cze-ka znany był mój adres. Znają go tylko swoi, a pośród nas niema zdrajców.

— Pleciesz, Fiediu!

— Niech pan wyjrzy przez okno. — Wyjrzałem. Tak jest. Na podwórzu stoi posterunkowy. Cóż to jest?... Słupy zbieg okoliczności... Fiedia wyjmuje rewolwer. Widzę jak drżą mu ręce. Co począć? Jesteśmy w pułapce... Nastawiam również brauning na „ogień“.

— Fiediu, czy masz przy sobie legitymację partyjną?

— Tak jest.

— I zaświadczenie, „Cze-ka“?

— Tak jest.

— Ruszaj tedy naprzód.

Zrozumiał. Twarz mu się rozjaśniła.

Mijając prędko stołowy pokój — wchodzi do kuchni. W stołowym bawią się dzieci. W kuchni pachnie mokra bielizna. Pani Pelagja szepece:

— „Nie idźcie... na miłość Boską — zabijają

was“... Lecz Fiedia szybko kroczy ku bramie. Otóż i ulica.

Przed bramą stoi samochód ciężarowy. Motor pracuje — drżą szybki okienne. Gołoledź. Kapie z dachów. W słońcu lśni figura Chrystusa. Fiedia żegna się:

— Bóg zachował, panie pułkowniku... Nie dopuściła Najświętsza Panna... aby zatoneło nasze miasteczko Psków...

15 lutego.

Przytulił mnie, stary znajomy profesor. Wykłada on na uniwersytecie biologję, zoologję, mineralogję — i nie wiem zresztą jaką tam jeszcze „logję“. Od rana wychodzi do zajęcia, zostaje cały dzień sam.

To nie dom — a kamienne pudło. Nie mieszkanie — lecz prawdziwe muzeum. Mikroskopy, kolby, retorty, wykresy i kolorowe tablice. Nad kominkiem wisi zegar z kukułką. Kuka ona, co pół godziny. Powoli pełźnie czas — dogasa beczynny, zbędny dzień.

Powiedziałem niegdyś: „nie chcę być niewolnikiem, nawet niewolnikiem wolnym“.

Czy długo jeszcze będzie trwała moja kwarrantanna? Fiedia niepokoi się. Nie radzi mi wychodzić. Pozostaję sam na sam z kukułką. Jest

cicho. Tak cicho, jak bywa tylko w pokojach zimną, późną zimą. Mrok oślepił oczy... Czyż to naprawdę Olga? Gdzie są jej warkocze? Gdzie jej biała suknia? Gdzie się podział radosny i niefrasobliwy jej śmiech? Gdzie są Sokolniki? Gdzie niepowrotne dnie... Wielką i ciężką jest pokusa. Zagadkowy Jegorow wyczuwa ją całym sercem. Nie pojmują jej ani Fiedia, ani Wrede, ani naturalnie Iwan. Dla nich wszystko jest jasne i nieskomplikowane. Rosja i „Komintern“ — chłopci i robotnicy. Stoją oni po stronie chłopca i Rosji. Ja również — za chłopcami i za Rosją.

Lecz wiem, pamiętam jaką była odpowiedź...

A Olga?

16 lutego.

Całe moje życie, to walka. Piję jeno wino niezmiészane z wodą. Piję go i obecnie. „Nie zabijaj“... „Nie zabijaj“ — gdy mordują twoją żonę. „Nie zabijaj“ — gdy mordują twoje dzieci — „Nie zabijaj“...

I uprawnione jest techórzostwo, i wywyższona słabość i niemoc podniesiona do godności cnoty... Tak jest — „mordercy pomrą od ran“. Lecz „udziałem bojaźliwych, niedowiarków i plugawców, — jeziora płonące ogniem“.

Dzięki Bogu, przerwane jest moje — „tabu“ — Fiedia zakomunikował mi przez telefon — iż w „Czeka otrzymano wiadomość, że opuścił Moskwę. Szukają mnie w Kijowie i Odesie“. Co wieczora przychodzi do mnie Iwan. Przytył i zgolił zarost. Ma na sobie modną, ściągniętą w pasie marynarkę — i złotą dewizkę. Czy nie jest to zegarek z „biciem“? Mówi w imieniu „Komitetu“.

— „Komitet“ jest niezadowolony z wybuchu.

— Dlaczego?

— Przeszkadza to w pracy.

Być może, ma on rację. Jesteśmy zatruci krwią. Nie rozumiemy walki bez krwi. A — „Komitetowi“ przegryzają „Sownarkom“ — jak szczury: uporezywie, ostrożnie, pocichutku. Ich życie jest cięższe od naszego. U nich nieprzerwany dzień powszedni, niewdzięczna i mozolna praca. Z początku praca — następnie, naturalnie więzienie. A „rękawiczki“? a „kielbaśki“? a „konki“?

— Komitet proponuje coś innego.

— Co mianowicie?

— Naczelnika „Wie-Cze-Ka“...

Naczelnika Wie-Cze-Ka?... Waham się

Wszak ten, niby car ukrywa się za pieczęciami i zamkami. Lecz... jak się wlaźło między wrony...

— Doskonale.

— Więc mogę zakomunikować?

— Tak. No a pan, co słychać u pana?

Iwan wyjmuje wypchany pugilares. W pugilaresie dolary i funty.

— Widzi pan. Zarobiłem na tytoniu. Zajmuję się handlem. Jestem spekulantem. „Każda mrówka swoją słomkę ciągnie“. O ten napewno nabędzie folwark i zaprowadzi holenderskie krowy.

Lecz wszak i komuniści dbają jeno o własną kieszeń — i tylko.

18 lutego.

Wezwałem Wredego — i Fiedię. Wrede jest w komunistycznym — „Komsostawie“. Podzwania szabłą, pobrzękują ostrogi. Brakuje jedynie szlif.

— No cóż panie Wrede — odpiąłeś pan szlify? Rumieni się.

→ I nie żałuję. Trzeba przyznać, żeśmy byli źle poinformowani. To nie banda, to armja — prawdziwa armja... Cóż że czerwona, — lecz w każdym razie nasza.

Fiedia zauważa żartobliwie:

— Racja, panie poruczniku. Biją po pysku — aż miło. Biją i jeszcze dogadują: „nie myśl, że to Tymczasowy Rząd — nie myśl że to... Jak stoisz — psi synu?“ Jak Boga kocham. Wrede zaczyna się denerwować.

— To kłamstwo.

Kłamstwo?... Oto, co znaczy siła przyzwyczajenia.

Wrede, znów czuje się oficerem. Znowu na koniu, w szeregu na czele szwadronu. Zapomniał niemal, że jest białym. Zapytuje go ostrożnie:

— A co pan myśli o naczelniku Wie-Cze-Ka?

Lecz Wrede odpowiada bez wahania:

— Ja, panie Jerzy, zawsze jestem do usług.

— A ty Fiediu?

Milczy. Następnie w zamyśleniu kiwa głową.

— Jeśli rozkażą — trzeba będzie iść. Lecz trudna to będzie sprawa.

19 lutego.

Tak, pocem przyszedł?... Znowu pożera mnie tęsknota, tęsknota do wolnego życia i do lasów. Jest mi ciasno. Przytłaczają mnie w Moskwie kamienie. I nie mam odwagi myśleć o Oldze. Rozwiodła ona ręce — nie jest w stanie mnie

zrozumieć. Lecz wszak powiedziałem — „i ja również“...

Nie dalej, jak wczoraj szliśmy z Jegorowym Iljinką. Koło kramów, pod murem, stał tatar w rozerwanej chałacie. W ręku trzymał czapkę. Na czapce widniał napis: „Towarzysze, ofiarujcie na trumnę“. Jegorow przystanął. Spojrzał na załuszczone banknoty i splunął:

— Litują się... Nad czym się tu litować?

Zdycha — a wciąż jeszcze cierpi, biesów towarzyszami nazywa. Za to Bóg i pokarał go.

Po tamtej stronie — „biesy“? Cóż po tej? Czyż Jegorow zdolny jest zbudować nowe życie? Czyż Fiedia zdolny jest zasiać zdrowe ziarno? Czyż Wrede nie jest zbuntowanym paniczem? Czyż Iwan nie jest „kułakiem“? Czemżeż my wszyscy wzbogacamy Rosję?.. Lecz wszak — „Bóg pokarał nas“.

Bóg pokarał tego, kto nie walczy i nawet umierając ulega „biesom“.

A Olga?...

20 lutego.

Mówię do Olgi:

— A więc można rabować zrabowane?

— A czyż ty nie rabujesz?

— A więc można zabijać niewinnych?

— A czy ty nie zabijasz?

— A więc można rozstrzeliwać za modlitwy?

— A czy ty wierzysz?

— A więc można zaprzedać, jak Judasz

— Rosję?

— A ty nie zaprzędajesz?

— Dobrze... Przypuścimy, że rabuję, zabijam, nie wierzę i zaprzędaję. Lecz zapytuję czy wolno to czynić?

Odpowiada mi z przekonaniem.

— Wolno.

— W imię czego?

— W imię równości, braterstwa, wolności.

W imię nowego budującego się życia.

Zaczynam się śmiać:

— Równość — braterstwo — wolność...

Słowa te wypisane są na drzwiach cyrkułów. Powiedz, czy wierzysz w nie?

— Wierzę.

— W równość Puszkina i białoruskiego chłopca?

— Tak.

— W braterstwo Śmierdiakowa i Karamazowa?

— Tak.

— W naszą wolność?

— Tak.

— I sądzisz, że zdołacie przebudować świat?

— Zdołamy.

Lecz za jaką cenę?

— To wszystko jedno...

Jest mi obcą. W jej towarzystwie ciasno mi,
jak w więzieniu.

21 lutego.

— A więc wystarczy przeczytać tuzin książek, aby osiąść prawdę?

— Zależy jakich książek.

— Ewangelję?

— Nie, Ewangelja jest dobra, dla dzieci.

— A więc wystarczy z balkonu rzucić okrzyk

— „bij — morduj“ — aby porwać za sobą całe stado.

— Nie stado — lecz naród rosyjski.

— Naród noszący w sobie Boga?

— Nie, wolny naród.

— A więc wystarczy uwierzyć w to, co mówi jakiś tam Marks — aby wyrzec się ojczyzny i rodzimego gniazda?

— Męczysz mnie, Jerzy.

— Aby wykoszlawić mowę, zdeptać wiarę

ojców, zrujnować głodnych nędzarzy i rozstrzeliwać ciężarne kobiety?

— Jerzy...

— Aby poniżyć Rosjan, oddać się w służbę pierwszym lepszym przechodniom — w imię ich zysków i ich kłamstwa?

— Jerzy...

— Pamiętaj Olgo: „Jeśli się pokłonisz, będą twoje wszystkie“...

Idź i pokłoń się. Nie, tyś się już pokłoniła. Teraz wszystko jest twoje. Wszystko jest wasze. Tobie, wam dana jest władza.

Opadła piersią na stół. Wybuchła niepowstrzymanym płaczem. Fiedia oczekuje mnie. Wychodzę.

22 lutego.

Fiedia melduje mi:

— Uśmiercili pana, panie pułkowniku. Jak Boga kocham uśmiercili...

Wczoraj przychodzi wiadomość: Powrócił pan pono z Odessy do Moskwy.

Dziś zrana druga: „Przybędzie o 8-ej do Piotrowskiego parku „motorem“.

Wielki Boże!... Zaniepokoił się, zakrzętnęli. Zaraz wystawiono kompanję przy Twerskiej rogate. No i ja, grzeszny człeczyna, tuż. Rzeczy-

wiście: słyszymy warczy motor. — „Stój!... Wysiada!... dokumenty“!...

Wysiada, taki sobie jegomość.

„Jestem“, powiada „Aleksiuk, urzędnik Gosbanku“.

„Aleksiuk?... urzędnik Gosbanku?... Znamy się na tem. Za nami“!...

Ów tędy - siędy, a sam już pobladł: ratunku! Przeszedł parę kroków i ze strachu szast w krzaki.

— Raz — raz... Ze wszystkich karabinów jeśli prażyć. Schyliłem się, a ten już i nie dyszy.

Tedy starszy powiada:

— „Psubratem był i zginął, jak pies“. — To właśnie, niby o panu...

A więc uśmiercili...

— Fiediu, przyznaj się, tyś donosił?

— Ależ nie. Cóż znowu? Czyżbym śmiał?

Wiem, Fiedia kłamie. Znowu grał hazardownie, i wygrał — oczywiście w „wiedźmę“. Już taki widać z niego szczęściarz.

23 lutego.

Wrede został aresztowany. Aresztowano go w maneużu, po mustrze i odwieziono samochodem ciężarowym do „Wie-Cze-Ka“. Nie stawiał opo-

ru. Fiedia prosi mnie, abym nie wychodził z domu. Dość tego! obrzydła mi już kwarantanna.

Olga... Olga jest mi obca, lecz wszak obca tylko dlatego, że jest mi bliska. Wrede też mi był bliski, — bliski i obcy oczywiście. Każdy z nas ma w sobie cząsteczkę prawdy. Zaledwie cząstkę, zaledwie nieznaczny jej okruch. Któż śmie powiedzieć, że zgłębił ją całkowicie?

24 lutego.

Czyż naczelnik „Wie-Cze-Ka“ miałby ujść śmierci? Fiedia przysięga, że Wrede został aresztowany wypadkiem. Lecz wypadkiem otoczono mnie, wypadkiem aresztowano Wredę...

„Rewolucyjny równaj krok, wróg nie śpi — wyteż słuch i wzrok“. My nie śpimy. Ma się rozumieć, nie śpią i oni. Wilk z odległości trzydziestu wiorst, czuje obecność człowieka. Tak też i oni. Tak i my. Wyczuwam zbliżające się niebezpieczeństwo. Domyślam się, iż krąży ono dokoła. Jegorow spochmurniał. Wspomina Sinicyna i żałuje, że w Moskwie nie można palić na stosach.

— „Lecz kogo palić? Powiedz“. „Kogo?... wiesz dobrze i sam“... Nie wiem. Wszak chyba nie Fiedię, nie Iwana?

Dziś w piwnicy, na Łubiance został rozstrzelany Wrede. Przed śmiercią napisał do mnie list. List ten oczywiście doręczył mi Fiedia.

— „Wiem, że umrę niebawem, lecz nie żał mi życia. Mam czyste sumienie. Spełniłem swój obowiązek. Służyłem Rosji, jak umiałem. Przypuścimy, że zrobiłem niewiele, inni zrobią więcej. Wierzę w Rosję, w jej chwałę, wolność i potęgę. Wierzę w naród rosyjski i za niego umieram“.

Szcześliwy Wrede. Dobrze jest umierać z niezachwianą wiarą w duszy, z poczuciem niezaprzeczanej swej racji. Dobrze jest w ostatniej, przedśmiertnej godzinie zajrzeć w głąb swego sumienia i westchnąć: „Panie, spełniłem swój obowiązek“. Dobrze oddać życie „za przyjaciół swe“... Podobnież umarł i Nazarenko.

...Idą, idą władnym krokiem...

Głodny pies za niemi bokiem,

Przed niemi — z krwawym sztandarem,

Niewidzialny ludzkim okiem,

Oślaniany od kul czarem,

Mocniejszy od zlej zawiei,

W śniegów perłowej rozchwiei,

Jasny światłem wszystkich zórz,
Kryjąc w wianku białych róż,
Krwawienie krzyżowych ran,
Prowadzi ich — Chrystus Pan *).

— Jerzy, pamiętasz te wiersze?

— Pamiętam. Lecz wszak według ciebie,
Chrystus jest dobry dla dzieci...

— Tak, dla dzieci. Lecz posłuchaj:

Zaczęliśmy od Bżeścia Litewskiego, a skończyliśmy obroną Rosji.

Wy — zacząwszy od natarcia, skończyliście na obcym utrzymaniu. Wszak prawda?

— Tak jest, prawda.

— Słuchaj dalej: Zaczęliśmy od obratania się na froncie, a skończyliśmy powszechnem zwycięstwem. Wy — zacząwszy od ochotników — skończyliście na Lemnosie. Wszak prawda?

— Tak jest, prawda.

— Posłuchaj jeszcze: Zaczęliśmy od kulmiotów, a skończyliśmy na powszechnej wolności. Wy — zacząwszy od wolności — skończyliście na karykaturze cara. Wszak prawda?

— Przypuśmy, że prawda.

— Więc dlaczego występujesz przeciwko nam?

*) Przekład W. Denhoff-Czarnockiego.

Siedzi poważna, blada, w tej samej czarnej, skromnej sukni. Spoglądam na nią. Szukam śladów dawnej Olgi. Oto kochane niebieskie oczy, Lecz i one jakgdyby nie są te same. Gdzie się podziała ich władza, nade mną?... Nie, znowu nie święto, lecz dzień powszedni. Mówię zwolna:

— A dlaczego ty, nie jesteś z nami? Wszak oddawna już wyrzekliście się siebie samych. Gdzie się podział wasz „Manifest Komunistyczny?“...

Pomyśl. Daliście obietnicę „pokoju chałupom i wojny pałacom“, a palicie chałupy i hulacie w pałacach. Daliście obietnicę braterstwa, a oto jedni zebrzą jałmużny „na trumnę“, a drudzy ją dają. Daliście obietnicę równości, a oto jedni poniżają się przed majestatem królów, a inni cierpliwie oczekują chłosty. Daliście obietnicę wolności — a oto jedni rozkazują, a drudzy ulegają, jak niewolnicy.

Wszystko jest tak, jak dawniej, tak jak przy carze. I niema żadnej komuny... Oszukaństwo i mile brzmiące frazesy, oraz powszechna kradzież. Wszak prawda? Powiedz. Milczy. Niema odwagi odpowiedzieć.

— Powiedz.

— Tak jest, prawda.

Czyż podobna przekonać Olgę? A jeśli tak, to zapytuję, w jakim celu?... Olga płacze. Lecz wiem: płacze nie z żalu za swe omyłki, i nie z żalu po mnie... Oplakuje naszą miłość... Oboje błądzimy wśród mgły. Nie mamy w sobie niewinności Fiedi, ani wewnętrznego ognia Jegorowa, ani niepokalanej prawości Wredego — tego, co zdolne jest ukołoić serca. Mamy poczucie swych win, różnych co prawda, lecz bądź co bądź win. Lub też nikt nie jest, nie może być winny. Wszyscy są prawi. Wszyscy „są prochem ziemskim“ i wszyscy „puchem“...

Kędyż jest jeździec z szalą w ręku?

28 lutego.

Powiedzieliśmy sobie wszystko. Czy jednak wszystko?...

— Jerzy..

— Co Olga?

— Nienawidzisz mnie.

— Nie, Olga.

— Lecz i nie kochasz mnie?... Kochasz inną?

Inną... Przypominam naraz Stolbce, blask księżycy i białą chusteczkę. Przypominam Gruszę. Przypominam gwiazdy i las i zapach świe-

zego siana. Słyszę... „Bałamucić mnie chłopkę, a ożenić się z równą sobie, z panią“... Czy kochałem Gruszę? Nie wiem. Zdawało mi się wówczas, że nie.

— Odpowiedz.

Utkwiła we mnie pytający wzrok.

Następnie mówi:

— Kochasz inną... Więc pocóż, poco przyszedłeś? Poco zmaciłeś mój spokój? Poco zażartowałeś ze mnie? No, przypuśćmy, że jestem twoim wrogiem. Przypuśćmy, że mnie nienawidzisz. Odejdź więc Jerzy, odejdź!...

—Dobrze, odejdę.

Gdy rzekłem to, przeraziła się. Powstaje i wolno odchodzi ku oknu... W szarej ramie okiennej zarysowuje się wysoka czarna sylwetka. Jest to Olga. Ta Olga — dla której tu przybyłem.

— Tak, odejdź Jerzy!

1 marca.

Iwan wyjechał na południe w sprawach „Komitetu“. Prawdopodobnie obawia się on „Cze-ka“, prawdopodobnie handluje, również zbożem. Zboże, tytoń, kakao, wino — nie pogardza on żadnym towarem. Zbiera grosze, na „folwark“.

Jegorow jest oburzony:

— „Porzucił. Dał drapaką... A wszystko dla zarobku. Czyż w naszej sytuacji dopuszczalne są względy zarobkowe. Winniśmy być czysti, niepokalani jak np. pan porucznik. Ach przekleci!... Gorszą lud, złotem kuszą“...

Jegorow mieści się w oficynie, w małej klatce. W prawym rogu izdebki wiszą obrazy: Bóg Sabbath i Chrystus Zbawiciel; w lewym stoi wysoki, okuty żelazem kufer. Leżą w nim brauningi, ładunki, bomby i ręczne granaty. Wieko od wewnątrz wyklejone jest ludowym obrazkiem: „Życie człowieka“. Wstępowanie: dzieciństwo — młodość — ożenek. Zstępowanie: ożenek — starość — grób. Pod grobem — piekło: djabli z widłami i ogonami i Gehenna. „płomień wieczysty“.

Jegorow wskazuje palcem.

— Otóż to, zapominają ludzie o tem.

Mówię:

— Wyjeżdżałbyś lepiej i ty.

— Ani myślę panie pułkowniku.

— Uważaj, mogą cię aresztować.

— Niech aresztują... Wysadzę ich wszystkich kufrem w powietrze.

Uśmiecham się:

— Czyż to nie grzech?

— Grzech? niszczyć biesów?...

Gdzie to, kto słyszał panie pułkowniku.

2 marca.

Fiedia telefonuje, że szukają nas. Zapropo-
nowałem mu również wyjazd. Ma się rozumieć,
nie zgodził się:

„Gdzie pan — tam i ja, panie pułkowniku
Jeśli już umierać, to razem. Djabliby ich wszyst-
kich porwali“...:

Wiem, że igramy z ogniem, lecz nie chcę,
nie mogę porzucać zaczętej sprawy: wciąż jesz-
cze mam nadzieję, że Fiedia zdobędzie wkońcu
adres naczelnika „Wie-Cze-Ka“. „Wie-Cze-
Ka“... Co za wstydlivość... Dlaczego nie „ochra-
na“. Wszak jest to ta sama carska katusza i ten
sam sąd Szemiakina.

— Przechadzam się po Moskwie.

Płatami sypie śnieg. Zaściela on bulwary,
place i zaułki. Biela się dachy domów. Bieleje
drżące powietrze. Na wieży u Spasa bije zegar.

Rozmyślałem o naszych widzeniach się z Ol-
gą. Jej wiara — to moje niedowiarstwo. Jej ra-
dłość — to moje nieszczęście. Jej zwycięstwo —
to mój sromotny koniec. I oczywiście odwro-
tnie... Jakżeż ciężko powracać mi do niej.

— Nie dane nam jest poznać prawdy, lecz to, co wiemy, rozszarpane jest na dwie części. Jedna jest w ich posiadaniu, druga w naszym. Nie każde słowo stanie się ciałem, lecz każde może spłynąć krwią. Ich słowa spłynęły krwią. Przelane zostały nie rzeki, lecz całe oceany. W imię czego? Olga twierdzi, że w imię wolności, równości i braterstwa. Śni ona. Śnię również i ja. A jawa? czyż nie marność nad marnościami?

— Podniosłem miecz. Nie mogłem go nie podnieść, — nie mogłem, ponieważ jestem synem Rosji. A obecnie? — „Opuścili mnie serdeczni przyjaciele, i bliźni moi stoją w oddali. Jestem bliski upadku, lecz smutek mój zawsze stoi przede mną“.

Ma się rozumieć wróciłem do niej. Jej pokój jest mi również obcy. Zbyt nagie ściany, zbyt zuchwały, zbyt obrażający portret.

— Olgo, zdejm.

Usłuchała mnie. Zdejmuje pozłacaną ramię. Następnie siada i bierze mnie za rękę.

— Chcesz, Jerzy, powrózę ci?

Nie wierzę we wróżby, nie wierzę również—
iż chce mi wróżyć. — Mówię:

— Nie trzeba... Czy pracujesz gdziekolwiek?

— Pracuję.

— Gdzie?

Wymienia jakiś tam „Kom“. Opieka nad
dziećmi. Oczywiście, nad dziećmi proletariuszy.

— W partji?

— Tak.

— Wiedziałem za udział w partji...

Milczę. Olga również milczy przez jakiś
czas.

— Jerzy...

— Co, Olgo?

— Więc gdzież jest według ciebie, prawda?

Wszak nie wśród białych?

— Nie.

— I nie wśród zielonych.

— Nie.

— I wszak nie wśród starych partji?

— Nie.

— Więc gdzież?

— Nie wiem...

Na fabryce, w koszarach, na wsi wśród pro-
stych, i nie zepsutych ludzi. Lecz nie pośród nas.

Powstała i pochyliła się ku mnie. I naraz
porywczo i mocno obejmuje mnie. Czuję jej cia-

ło, — jej wysoką i miękką nierś. Tak obejmowała Grusza.

— Nie mam czasu Olgo. Żegnaj.

5 marca.

— Jerzy, ty kochasz inną?

— Nie wiem Olgo, nie wiem...

— Nie wiesz?...

— Przestałeś mnie kochać... Jakżem cię oczekiwała. A potem... Potem... dowiaduję się, żeś jest bandytą... Nie miałam sił. Musisz mnie zrozumieć... Lecz powiedz, kim jest ona? Kim ta inna?

— Niema jej już, Olgo

— A więc prawda? a więc nie omyliłam się. Nie Kocham cię. Nienawidzę, tak jest, nienawidzę cię...

Zaczyna płakać. Płyną obfite łzy kolce, — jak wówczas w lesie u Gruszy.

— Olgo...

— Nie, nie... Jesteś zdrajcą. Sprzedawczykiem. Wrogiem ludu... Jesteś naszym, moim wrogiem...

— Olgo...

— Powiedziałem ci już raz — odejdz.

Poraz wtóry wypędza mnie. Niech będzie

i tak. Żał mi mego kochania. Lecz nie czuję w sobie ani gniewu, ani współczucia.

Na ulicy zapomnę o niej.

6 marca.

W „Izwiestjach“ wydrukowano:

„Nowa zbrodnia białogwardzistów. Zdradzieckie wybuch w Narkomzdrawie. Wie-Cze-Ka — stojąc na straży rewolucyjnych zdobyczy, wykryła kolejny spisek najemników Ententy, miewików es-crów. 5 marca, o 4 pp. ajenci przybyli z zamiarem aresztowania niejakiego Piotra Łarjonowa, pełniącego obowiązki stróża we wspomnianej instytucji. Łarionow, który był w istocie niebezpiecznym bandytą, zabarykadował się w swem mieszkaniu. W odpowiedzi na żądanie wydania oręża—rozległ się ogłuszający wybuch. Zabici zostali towarzysze: Wiccis, Biak, i Szczepański. Gmach Narkomzdrawu uszkodzony. Osobistość bandyty nie mogła być ustalona wskutek zeszpecenia twarzy przez wybuch.

„Śmierć zdrajcom! Niech żyje R.S.F.S.R.!”

„Wskutek zeszpecenia twarzy przez wybuch“... Jegorow uczynił tak, jak był zapowiedział. Tak, wieszał on, rozstrzeliwał a nawet palił na stosie. Lecz wszak walczył z „biesami“. Wszak nie palił, i nie splugawił się pijąc z cudze-

go naczynia. Czyż dość jest tych zasług — aby uniknąć tego, o czym „zapominają ludzie“? Był on wierzącym. Niech się święci jego wiara.

7 marca.

Jegorow był nieoświeconym starcem, nieoświecone bowiem są wnętrza ludu. Nieoświecona jest nieruszona plugiem ziemia, bogata i urodzajna. Wrósł on w nią korzeniami. Lecz — „stało się wielkie trzęsienie ziemi“, zachwiało się stare życie. A nowe... Cóż dało mu nowe?

„Zabili syna i spalili mu dom“... Djabełskie podszepty.

Słucham jak wicher wyje w kominie i zdaje mi się że nie jestem w Moskwie, lecz w lesie i że to dudnią wierzebołkami klony. Oto wyjdzie z ciemności Jegorow, przeżegna się składając dwa palce, powie: — „takie to dobrodziejstwo Boże“... I tchnąc świeżością i weselem zaszumi letni deszcz.

8 marca.

Fiedia siedzi w kacie. Wypala papierosa za papierosem. Zmizerniał, oczy ma podkrążone. Zdaje się, że zaczyna on przegrywać w „wiedźmę“.

— Czasby już „pakować manatki“, panie pułkownika.

— A naczelnik „Wie-Cze-Ka“?

— Niezmiernie już jest trudno, panie pułkownika. Nawet do mnie zaczęli się przyczepiać: „od jak dawna jestem w partji? a gdzie pracowałem w pierw? czym siedział w więzieniu i w jakim?“ Łże jak pies, ale mało z tego pociechy. Zmądrzeli psubraci. Nie dają się wyprowadzić w pole gałgani.

— Czyś zdobył adres?

— Zdobyć, zdobyłem. Tylko cóż, panie pułkownika, jak Boga Kocham, zagarną nas, jak kurczaków.

— A więc możesz odejść Fiediu, nie jesteś mi potrzebny.

Rzuca niedopałek papierosa do kominka.

— Weześniej niż w sobotę i mowy być o tem nie może. Wyjechał. Powróci dopiero w sobotę. A do soboty...

Beznadziejnie macha ręką. Boi się. Przerywam mu.

— Powiedziałem ci: daj mi adres i zmykaj.

9 marca.

Fiedia nie odszedł. Tegoż wieczoru został aresztowany. Czytam znowu w „Izwiestjach“:

piszą w nich, że białogwardzista, agent Kowalow został zabity, gdyż usiłował zbiec.

A więc niema już i Fiedli. Niema nikogo. Jestem sam.

10 marca.

Czekać do soboty... A dziś dopiero czwartek. Jestem jak osaczony zwierz, jak pani komisarzowa w Bobrujsku. Tęsknię do lasu. Ponuro wygląda Wasyli Błażennyj i smutny jest Kreml. Oto ściana, mogiły poległych komunistów. Dla nich — cześć i wieczny odpoczynek. A dla mnie?... Dla mnie szeroki przestwór. Szeleści w lesie przydeptana leszczyna, podnosi się brezent nad namiotem, wchodzi bosymi stopami Grusza: „Bij ich, bij — aby żywa noga nie uszła, żeby pozdychali wszyscy przekłęci!“...

11 marca.

Tak, Fiedia miał rację: czas „pakować manatki“. Wyszedłem pod wieczór na Twerską. Szedłem bez myśli, bez celu: dusiłem się w tem pudełku. Na dole, na placu dopędza mnie „motor“.

„Towarzyszu“, stój!... Ręce do góry!...

Zdażyłem wyjąć brauning: noszę go stale ze

sobą w rękawie. Podniosłem prawą rękę, i nie zdając sobie sprawy z tego co robię — zacząłem strzelać. — Nie widziałem ludzi, widziałem tylko czarne cienie. Naciskałem na cyngiel, dokąd nie sześęknał po ostatniej kuli — zamek.

Wówczas oprzytomniałem. Obejrzałem się. Było pusto i bardzo ciemno. Na bruku, na mokrym śniegu leżały trzy trupy. Pracował motor, opuszczonego ciężarowego auta. Skręciłem w zaułek... A więc naczelnik „Wie-Cze-Ka“ nie będzie zabity.

12 marca.

Żegnałem się właśnie z profesorem, gdy rozległ się dzwonek. Profesor drgnął. Wziąłem rewolwer i poszedłem otworzyć. W progu stała Olga.

— Dlaczego masz rewolwer?

— Poszukują mnie.

— Kto?

— Twoi przyjaciele, komuniści.

Upadła na krzesło, tak, jak stała w futrze i papasze.

— Jerzy... ty wyjeżdżasz? Tak?

— Tak, Olgo.

— Jerzy, drogi, zabierz mnie ze sobą...

Jerzy!

— Dokąd?

— Dokąd chcesz.

„Zabierz mnie ze sobą, dokąd chcesz“...

Tak samo błagała i Grusza.

Dlaczego ta kobieta w papasze z krótko obciętemi włosami, ta obca mi nieznajoma mówi do mnie na ty — i nazywa mnie Jerzym?

— Nie, Olgo.

— Jerzy, bądź czem tylko chcesz, rób co chcesz, lecz nie odmawiaj... Zlituj się... Wszak kocham cię... Jerzy! Kocham cię zawsze.

— Nie, Olgo.

— Dlatego, że byłam komunistką? Dlatego że byłam przeciw wam?

Milczę.

— No powiedz wreszcie, powiedz...

Olga nie płacze. Ma suche oczy. Czeka. Podobnie czekała na odpowiedź i Grusza...

Na inną odpowiedź.

— Dlatego, że cię nie kocham.

Powiedziałem i nie wierzę we własne słowa. Opuściła oczy. W kuchni pan profesor podzwaniał szklankami. Cykał wiszący zegar - kukulka i pamiętam, za oknem wirował powoli śnieg.

Jestem już w wagonie. Pachnie kubrakami i machorką. W odległym kącie, pociemku, jakiś zuch „rżnie“ na bałałajce.

Ach, kommunijo, kommunijo ty moja!

Ach i podła jest twarzyczka cała twoja! Czegoż dopiąłem? Za mną świeże mogiły. Przedemną... Cóż mnie oczekuje w przyszłości? Trudna i daleka droga, i ani widać, ani przeczuwa się jej końca. Jutro upadną oni. Któż przyjdzie na ich miejsce? Tacy, jak Fiedia, Jegorow, Wrede? Czy paniczki, święci Kasjanowie, którzy nie włożyli palców swych w rany. Lecz wszak trzeba budować — a nie rujnować... Olga... powiedziałem jej, że nie kocham. Tak, świat stał się dla mnie pustym. Rosja — Olga, Olga — Rosja. Kłamstwo.

A Grusza?... Nie, niema Gruszy i niema marzenia o Oldze. Zwarło się koło. Czy nie to ostatnie, gdy traci się wszelką nadzieję.

U kommunji kieszeń w dziurach: źle się dzieje!

U kommunji pół królestwa — to złodzieje!

Gwiżdże przeraźliwie parowóz. Turkocą koła. W ciemnościach „rżnie“ bałałajka. Pędzi pociąg. Dokąd?

Pociąg pędzi. Widzę: pod odartą ze skóry brzozą stoi z obnażoną głową, z pętlą na szyi człowiek...

„W jaką stronę się żegnasz — żegnaj się na wschód“... Widzę: bucha czerwony płomień, biegną obrażone ramiona. — „Brodę, brodę mu podpala“... Widzę: płonie wieś, błysnęła w słońcu siekiera: „Zabiję!“... Pociąg pędzi. „Ej towarzyszu, trwogę zduś! Palniemy kulką w świętą Ruś!“... Palnęli. I oto raniona trzepoce się Rosja. Palnęli nie tylko oni, palnęliśmy i my.

Palnęli wszyscy, kto miał karabin w ręku. Kto z Rosją? Kto przeciw, niej?.. My?.. Oni?.. I my i oni?...

Nie dane jest nam wiedzieć, dnia ani godziny. Lecz powstanie Ojczyzna, powstanie z naszej krwi, powstanie z głębin ludu. To nie, że jesteśmy „puchem“. To nie, że nas wzbija „niepogoda“. Ślepi i nienawidzący się wzajem podlegamy jednemu niewysłowionemu prawu. Tak, nie my zmierzymy nasze grzechy. Lecz i nie my również będziemy mierzyć naszą drobną ofiarę... „A gdy otworzył trzecią pieczęć, słyszałem trzecie zwierzę mówiące: chodź a patrzaj. — A oto koń wrony, a, który na nim siedział, miał szalę w ręce swojej“...

